

Ladislav M.Orsy
PAN
NIEPOKOJU

PRZEŁOŻYŁY
MAGDA IWIŃSKA, ANNA JANCEWICZ

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX,
WARSZAWA 1988

PAN NIEPOKOJU

Wielki płacz płynie przez Kościół, docierając do wszystkich czterech krańców świata: *Tyle jest niepokoju!* To prawda. Porządek rozpada się; niepokój panuje wszędzie. Jesteśmy oszołomieni na podobieństwo kogoś, kto przyzwyczajony do przejrzystej sieci autostrad odkrywa nagle, że znajduje się pośród dżungli. Nie wiemy, w którą się skierować stronę, a gwiazdy na niewiele się zdają, przesłonięte przed naszym wzrokiem gęstymi koronami drzew. Wzdychamy i modlimy się, by droga znów stała się prosta, a lud Boży mógł nią maszerować, jednym głosem radośnie śpiewając Amen i Alleluja!

W królestwie Bożym są jednak czasy ładu i czasy niepokoju. Ład jest naturalnie dobrem, ale do tego stopnia byliśmy nim oczarowani, że wykluczaliśmy wszelki dobroczynny niepokój, uznając go za nie licujący z boskością. Tym samym Bóg stał się panem porządku, czystego i prostego.

Obserwując porządek w naturze wywnioskowaliśmy, że Bóg istnieć musi, i znaleźliśmy wyjaśnienie dla nieładu, który narusza doskonały plan Stwórcy. Przez stulecia pracowaliśmy nad ujednoczeniem liturgii w przekonaniu, że Boga raduje nasza uporządkowana służba. Wznieśliśmy potężny gmach prawa kanonicznego, które udzielało odpowiedzi na większość naszych pytań oraz rozwiewało wątpliwości w sposób właściwy wielkim systemom: jednoznacznie i pewnie. Temu pościgowi za ładem poświęcali się papieże, biskupi, księża i ludzie świeccy. Na każde niejasne pytanie istniała jasna odpowiedź, należało ją jedynie odnaleźć. Chrześcijanie mogli spokojnie żeglować ku niebu szlakiem wyraźnie oznakowanym kolorowymi bojami i pulsującymi znakami świetlnymi.

Wszystko to jest obecnie przeszłością. Porządek przeminął: zamęt króluje niepodzielnie... Zdarzyć się mogą na morzu jakieś kolorowe boje, ale nikt już nie wie, jak

je rozumieć. Zamigoczą jakieś światła, ale nikt nie umie odczytać ich znaczenia. Zagubiliśmy się na tych wodach, rzuceni w ich niezmiarzone fale. Kiedy to wszystko się skończy?

Na pocieszenie powiedzmy sobie po pierwsze, że zamęt nie jest całkowity. Jest niewątpliwie ogromny, lecz równocześnie nasze fundamentalne pewniki wciąż trwają. Zatem znaki zasadnicze się ostały. Kościół nie utracił wiary i credo rozbrzmiewa we wszystkich zakątkach Ziemi. Wiara w Pana wyraża się w cichej ufności chrześcijan, żarliwej modlitwie oraz przepelnionych miłością uczynkach, których nikt nie może podawać w wątpliwość.

Nie zmienia to jednak faktu, że wszędzie uderza nas niepokój i niepewność. Z tego właśnie powodu wielu dobrych chrześcijan pragnie przywrócenia czasów większego spokoju i nieustannie do tego dąży.

I prawdą jest, że w wielu dziedzinach osiągnąć powinniśmy większą niż dotychczas równowagę. Jednak ufam, że Bóg nie w pełni wysłucha tych modlitw. Tak samo jak porządku, potrzebujemy również niepokoju. Być chrześcijaninem to tworzyć *pewien* porządek, żyjąc zarazem w stanie niepokoju. Powinniśmy innymi niż w przeszłości drogami i gdzie indziej szukać naszego poczucia bezpieczeństwa. Bóg nasz może być Bogiem porządku, ale w imię tego samego prawa jest również Bogiem niepokoju.

Czyż to nie Bóg stworzył dżunglę? Ograniczony umysł człowieka nakazywałby raczej sadzić drzewa w porządku geometrycznym, na północy umieszczając najwyższe, zaś najniższe na południu. Czyż gwiazdy są rozrzucone na niebie zgodnie z jakimś planem? Gdyby rozmieszczał je człowiek, nie byłoby fantazyjnej linii Wielkiej Niedźwiedzicy; zamiast niej widniałaby na niebie linia prosta.

Dżungla czy wygwieżdżone niebo mówią o artyście, który z igrasce królewską swobodą kształtował wszechświat ciesząc się milionami form, rozmiarów, kolorów. Przede wszystkim stworzył Bóg istotę ludzką — człowieka wolnego i rozumnego, który w bolesnych zmaganiach cierpliwie zdobywał świadomość i sam odkrył ogień. Stworzenie naznaczone było celowością i zamętem. Jeśli jednak istniał chaos, istniał także Duch Boży, który nadał wszystkim rzeczom piękno i ruch.

Chrystus nie pozostawił także swym uczniom podręcznika teologii. Jakże wiele trudu oszczędziłby swemu Kościołowi, gdyby od razu wyraźniej nakreślił choćby dogmat Trójcy Świętej. Jednakże tego nie uczynił. Na blisko siedem stuleci pozostawił swój Kościół na pastwę niepokoju i niezrozumienia. Częściowo wynikały one z faktu, że w Ewangelii nie ma pojęć dostatecznie ścisłych. Ale przez wszystkie te stulecia duch Chrystusa był w Kościele obecny i z czasem osiągnięto względną jasność co do istnienia tej wielkiej tajemnicy.

Chrystus nie pozostawił również swoim uczniom księgi praw, która by zawierała zbiór wszystkich przepisów wytyczających drogę cnotliwego życia oraz przedstawiała pełną listę grzechów z podziałem na śmiertelne i powszednie. Zbyt wielkim był artystą i poetą, by zajmować się którąkolwiek z tych spraw.

Ale był także człowiekiem o sercu pełnym współczucia. Znał nasze niepokoje i potrzebę poczucia bezpieczeństwa. Sprzyjał swemu ludowi. Zesłał swego Ducha, by mu towarzyszył, pomagał, prowadził. Ludzie nie otrzymali ani całkowicie jednoznacznej teologii, ani księgi praw. Pozostawił uczniów z dobrodziejstwem swoich prostych słów oraz sporą porcją potencjalnych niepokojów. Ale zesłał przepelnioną miłością istotę, by ich wzięła pod swoją opiekę.

Częścią kondycji człowieka i chrześcijanina jest niejasność i niepewność. Musimy z nimi żyć. Módlmy się zatem, by Bóg nas ich nie pozbawiał. Prośmy Go raczej o łaskę ufności, gdy przedzieramy się przez dżunglę czy żeglujemy po burzliwym morzu.

Musimy zrozumieć, że Bóg nie jest po prostu czystym intelektem czy też niezależną od niczego silną wolą. Jest również poetą rozkoszującym się roztańczonym rytmem słów, nawet jeśli znaczenie ich jest nieco niejasne; jest muzykiem, lubiącym wygrywać dźwięki trudne lub niemożliwe do racjonalnego zinterpretowania. Jest malarzem z lubością rzucającym na płótno ostre kolory i z zadowoleniem oceniającym efekt, choć ktoś patrzący z boku mógłby pomyśleć, że obraz jest postawiony do góry nogami.

Jeśli Bóg nasz jest Panem niepokoju w równym lub większym stopniu niż Panem ładu, nie możemy wiecznie mieć liturgii zgrabnie uporządkowanej i łatwej do odczytania. Nie radowałaby ona naszego Boga. Nie możemy

mieć Kościoła z gotowymi odpowiedziami teologicznymi dla wszystkich sytuacji ani też księgi praw, która pozostawałaby zawsze niezmienna. Kościół pielgrzymujący nie powinien iść w takt jednego bębna; powinien odnaleźć swoją drogę w szlakach przecieranych przez liczne grupy pielgrzymów zdążające w tym samym kierunku, choć każda w rytm własnej melodii; i choćby nuta zabrzmiała niekiedy fałszywie, pieśń będzie zawsze wspólna. *Wystawiajmy Pana, Amen, Alleluja!*

Wszak to nie w porządku pokładamy nadzieję, lecz w Duchu prowadzącym pielgrzymów Bożych wśród niepewności.

KTO JEST PRAWDZIWYM PROROKIEM?

Głos proroka jest dla nas takim samym dobrodziejstwem jak rześki, wiosenny wiatr dla zasnutego spalinami Manhattanu. Przechodniów przenika chłodem, lecz gdy tylko przewieje dym i mgłę nasycając powietrze słownawym morskim zapachem, ludzi ogarnia wewnętrzne ożywienie. Każdy zaczyna głębiej oddychać, chód staje się bardziej sprężysty. Podobnie oczyszczająco działa słowo proroka przenikając nas głęboko. Gdy mija pierwszy szok, zaczynamy żyć z nową energią. Bez tej ożywczej bryzy Manhattan by się zadusił; bez proroków nasze społeczeństwo uległoby rozkładowi.

Ale jak odróżnić prawdziwego proroka od fałszywego? Jak odgadnąć, kto jest posłańcem Boga, kto samozwańczym heroldem?

Już Izraelitom przyszło się zmierzyć z podobnym problemem. Od tego, kto twierdził, że jest prorokiem, żądali dowodu. Każdy bez wyjątku wysłaniec Jahwe miał zdolność dawania znaków: ich tożsamość była tym samym dowiedziona. Eliasz modlitwą sprowadził ogień na stół ofiarny, gdy tymczasem kapłani Baala nie uzyskali odzewu na zanoszone do nieba błagania; lud Izraela otrzymał tedy jasną odpowiedź, kto jest prawdziwym prorokiem.

Dzisiejsze znaki nie muszą mieć koniecznie tak dramatycznej formy, lecz potrzebujemy ich nadal. Jakże możemy otworzyć się na niepokojące Boże przesłanie, objawione nam przez jakiegoś proroka, nie mając pewności, że prawdziwie został nam zesłany? Jakże możemy odrzucić półprawdę i wprowadzające w błąd słowa tych, którzy bezinteresownie głoszą prorocтва, skoro wcześniej nie sprawdziliśmy ich „pełnomocnictw”? Prawidłowe rozpoznanie ma dla zdrowia naszego społeczeństwa zasadnicze znaczenie. Nie wolno słonej morskiej bryzy mylić z tlenkiem węgla. Jedno uzdrowia, drugie zabija.

Umiejętność rozróżniania jest sztuką złożoną. Nie ma-

my niezawodnego testu umożliwiającego rozpoznanie człowieka Bożego, ale może istnieć zbieżność dyskretnych znaków, które dadzą całkowitą pewność, że rozpoznamy przesłanie. Wreszcie ostateczne świadectwo prawdy słów proroka da nam Duch Święty, mieszkający w sercu każdego chrześcijanina, podczas gdy nam pozostaje zadanie mniejszej wagi: drogą wnikliwej obserwacji i refleksji zając się znakami możliwymi do rozpoznania.

Prawdziwy prorok naznaczony jest raczej umiejętnością słuchania niż darem wymowy. Zabrzmić to może zaskakująco, choć nie ma w tym stwierdzeniu nic niezwykłego. Prorok kojarzy się nam przeważnie z mówieniem. Powinniśmy jednak pamiętać, iż zanim głosić zacznie przesłanie, musi je najpierw usłyszeć. Ci, co nie potrafią słuchać, nie mogą mieć przesłania. Podstawową cechą prawdziwego proroka jest zatem umiejętność dawania siebie innym przez wielkoduszne, bezstronne słuchanie. Musi on być człowiekiem intelektualnie otwartym, chętnym do słuchania najbardziej zaskakujących i nieoczekiwanych słów, aby móc później przekazać je innym.

Prorok jest wewnętrznie silny. Wysłuchiwać może najróżniejszych opinii i nawet z zapalem o nich dyskutować, bowiem ma niezachwianą wiarę w swoje posłannictwo. Wie, w kogo wierzy. Owa cecha otwartości musi objawiać się w życiu codziennym. Ten, kto przerywa swojemu rozmówcy, nie potrafi słuchać również Boga. Mało też prawdopodobne, by jego właśnie wybrał Pan. Człowiek taki, nie dosłuchawszy do końca skierowanego doń przesłania, szerzyłby tym samym spustoszenie pośród wspólnoty.

Prawdziwy prorok to człowiek o sercu wypełnionym miłością. Pragnie stworzyć nowe społeczeństwo. Wie, że tylko miłość może być łączącym je spoiwem. Obca mu jest nienawiść. Kocha wszystkich i nie ma człowieka, którego by nienawidził. Gdy w jego mowie pojawi się nuta nienawiści, wystrzegajmy się podążania za jego głosem. Bowiem nienawiść z pewnością nie od Boga pochodzi. Jest to łatwo wyczuwalna fałszywa nuta, która podważa całe przesłanie. Ogłoszone przez Chrystusa powszechne przykazanie miłości odnosi się do wszystkich proroków.

Prawdziwy prorok jest obarczony tajemnicą. Głosi przesłanie wykraczające poza jego możliwość pojmowania i wykonuje zadanie przerastające jego siły. Pomimo iż ma

pewność, świadom jest swojej niedoskonałości. Stąd też panuje wokół niego atmosfera pokory. Owo poczucie niedoskonałości prowadzić może do strachu; nawet do desperackiej ucieczki.

Nie jeden z wielkich proroków Izraela podejmował na pewnym etapie próbę ucieczki od Jahwe. Oczywiście Pan nie pozwalał mu odejść. Uciekającego Eliasza odnalazł na pustyni pod krzewem jałowca i sprowadził z powrotem. Nie opuścił pogrążonego w rozpacz Jeremiasza i otuchą nappełnił jego serce. Przesadą byłoby twierdzić, iż wszyscy prawdziwi prorocy w pewnym momencie próbują uciec, zaniechać swej misji czy przeżywają chwile słabości. Gdy jednak spotkamy proroka, który nigdy żadnego z tych uczuć nie doświadczył, powinniśmy się mieć na baczności. Bowiem jeśli nie odczuwa on ciężaru tajemnicy, mało prawdopodobne, by w ogóle ją znał. Jego przesłanie miast być słowem Jahwe okazać się może raczej tworem fantazji.

Prorocy mogą głosić przesłanie na różne sposoby. Jedni są wezwani, by wypowiadać je donośnym głosem, inni — by szeptać. Są przesłania, które muszą być wykrzywane na ulicy, nieważne, czy przechodnie słuchają, czy nie. Jeremiasz miał wątpliwe szczęście zostać powołanym do takiego właśnie zadania. Izrael potrzebował w owych dniach mocnego lekarstwa. Istnieją również przesłania, które przekazywane być muszą z ogromną łagodnością i wyczuciem, nie zaskakując ani nie raniąc nikogo. Takie przesłania wzmacniają niczym dobry posiłek, a przekazują je osoby o niezwykłej wrażliwości. Księga Izajasza zawiera wiele zapisów kojących i pięknych w delikatnej subtelności swych słów.

Z powyższego wynika, iż szukając oznak mowy proroków nie powinniśmy słuchać jedynie ryczącego wichru. Słowa proroka mogą być także wyszeptane w kuchni do dzieci przez chrześcijańską matkę. Ponieważ w porównaniu z niektórymi prorokami Starego Testamentu styl Jezusa był wyciszony, zrodzić się może przypuszczenie, iż na obecnym etapie rozwoju chrześcijaństwa więcej proctw wyrażanych jest przez szept niż donośną przemowę.

Nie ulega wątpliwości, że czasy proroków nie przeminęły. Mamy dziś z nimi do czynienia — kto wie, czy nie częściej niż kiedykolwiek w przeszłości. Ostatecznie Chrystus przyniósł nam nowy rodzaj bogactwa, a Jego dobra

nowina rozniosła się po całej ziemi. Powinniśmy być na tyle mądrzy, by wysłuchać głosu człowieka wysłanego przez Pana, i na tyle czujni, by zamknąć uszy na zwodnicze opowieści. Żaden z opisanych wyżej znaków nie jest niezawodny. Jednakże wszystkie razem mogą dać trafną odpowiedź na pytanie, skąd przybywa do nas głos. Ostatecznego zaś rozeznania udzieli nam Duch Święty — drogą, jakiej żaden autor nie potrafi wyrazić słowami.

LOT NA KSIĘŻYC A METODA TEOLOGICZNA

W naukach stosowanych kluczem do sukcesu jest precyzja, a precyzja, jaką osiągnęli naukowcy, jest zadziwiająca. Widzieliśmy przecież wspaniały wyczyn astronautów — ponowne wejście w atmosferę ziemską. Kapsuła statku — jak nas poinformowano — musiała kierować się na Ziemię pod ściśle określonym kątem; przewidziano niewielki zaiste margines błędu. Wejście w atmosferę ziemską pod kątem o jeden stopień mniejszym wybiłoby kapsułę z powrotem w przestrzeń kosmiczną, bezsensowną podróż bez celu. Wejście pod kątem o jeden stopień większym spowodowałoby tak wysoką temperaturę wskutek tarcia, że kapsuła uległaby spaleni i rozsypała się niczym spadająca gwiazda.

Skoro w nawigacji kosmicznej stawka jest niezwykle duża, nic zatem dziwnego, że przygotowanie pilota czy nawigatora statku kosmicznego wymaga wiele czasu. Ani pełni dobrych chęci amatorzy, ani ryzykanccy śmiałkowie nie mają dostępu do tej złożonej maszyny. Selekcja kandydatów daje pewność, że osoby zainteresowane powierzchownie nie zostaną wybrane. W chwili obecnej podróżują w kosmos jedynie profesjonaliści.

W naukach stosowanych niewiedza i niekompetencja są automatycznie karane. Niewielki błąd w obliczeniach matematycznych może zagrozić bezpieczeństwu wielu ludzi. Drobną nieuwagą przy komponowaniu struktury jakiegoś materiału może spowodować tragiczny w skutkach wybuch.

Natura niechętnie toleruje głupotę. Jeśli ktoś próbuje ingerować w jej prawa, reaguje gwałtownie, co na ogół odstrasza ludzi niekompetentnych.

Zabrzmi to może zaskakująco, lecz teologizowanie jest sztuką nie mniej subtelną niż działanie na polu nauk ścisłych. Fakty muszą być ustalane pieczołowicie i precyzyj-

nie. Od teologa wymaga się wszak rozważań na temat zbawczych dzieł Boga, dokonanych na przestrzeni dziejów. Musi on znać fakty tak dokładnie, jak pozwala na to umysł ludzki. Podobnie jak naukowiec, musi rozpocząć od ustalenia tych faktów. Następnie wyrazić je musi w pojęciach, jakimi operuje człowiek — co nie jest zadaniem możliwym zważywszy, iż dzieła Boże nie mieszczą się w kategoriach ludzkich. Jednak zadania tego powinien się podjąć. W rezultacie dla przytłaczających tajemnic powstają pojęcia tak nieporadne jak Trójca Święta, łaska, sakramenty. Znalezienie równowagi pomiędzy mizernymi słowami i wielkimi tajemnicami Bożymi jest sztuką, która nawet w odczuciu świętego Pawła była zbyt trudna. W pewnym sensie naukowiec jest w sytuacji lepszej niż teolog, ponieważ wie przynajmniej, o czym mówi.

Kiedy stworzone są już pojęcia, przychodzi czas na sformułowanie sądów: sądów przybliżających prawdę, wykluczających tymczasowo lub ostatecznie możliwość błędu oraz badających związki pomiędzy tajemnicami. Proces myślowy niewiele się różni od tego, w którym naukowiec formułuje hipotezy. Fazą końcową jest przekazanie osiągniętych wyników innym, mającym swoje własne kategorie, filozofie, własne spojrzenie na świat. Jeśli formuły teologów nie zostaną przystosowane do możliwości odbiorców, zagubią się w procesie komunikacji. Naukowcy mają podobny problem. Niełatwo im dyskutować z laikami.

Nic przeto dziwnego, że dobrym teologiem stać się można dopiero po długich przygotowaniach. Należy badać fakty, rozwijać umiejętność formułowania odpowiednich pytań i dochodzenia do odpowiedzi. Trzeba nauczyć się sztuki właściwego porozumiewania się z innymi.

Wynikałoby z tego, że liczba dobrych teologów jest tak samo ograniczona, jak liczba dobrych naukowców. Czy jest to jednak prawda? Naukowców spotykamy rzadko, są nieliczni; tymczasem teologów jest bardzo wielu. Mało jest tych, którzy zajmują się strukturą atomu, lecz bardzo wielu tych, którzy dyskutują hipotezy teologiczne. Jedynie odważni piszą artykuły naukowe, gdy tymczasem publikowanie prac dotyczących teologii stało się czymś zwyczajnym. Czyżby istotnie tak dużo było ludzi kompetentnych? Może tak... może nie.

Istnieją pewne różnice między teologią i naukami ścisłymi sprawiające, że łatwiej wkroczyć na pole teologii.

Omyłka w badaniach teologicznych nie pociąga za sobą automatycznie wymiaru kary. Jeśli ktoś popełni kolosalny nawet błąd, wybuch nie nastąpi. W istocie rzeczy może dzięki nowości, świeżości i odwadze swej teorii osiągnąć oszałamiającą wręcz sławę. Z czasem profesjonalści wykryją amatorszczyznę i promienna gwiazda twórcy rozpadnie się w drobny pył. Wymaga to jednak czasu, nierzadko dziesiątków lat, a nawet stuleci. Dlatego amatorzy mogą prowadzić swą działalność przez czas bardzo długi.

Ponadto, wypowiedanie się w sposób sensowny o nauce wymaga pewnej wiedzy podstawowej, którą niełatwo osiągnąć. Z tego względu laik zmuszony jest w czasie dyskusji fachowców milczeć. Jest to nie tylko kwestia specyficznego żargonu, lecz także erudycji i praktyki. Przypomnieć jednak należy, że wielu ludzi ma podstawową wiedzę teologiczną. Nie wystarcza ona, by rozpocząć drogę ku wyżej opisywanej refleksji krytycznej, lecz jest dostateczna, by natchnąć interesującymi ideami, wywodzącymi się nie tyle z rzeczywistości, co raczej z fantastycznie płodnej wyobraźni. Taki dar może prowadzić do wielu ciekawych prac, artykułów i książek o — zdawać by się mogło — epokowym znaczeniu, lecz jedynie w dziedzinie teologicznej fikcji. Gotowych naukowców nie ma, bowiem niełatwo pojąć zasadnicze prawa nauki. Ponieważ jednak fakty dotyczące objawienia Bożego są przekazywane wielu, przeto istnieje niebezpieczeństwo teologii przypadkowej; dosadniej mówiąc, teologowie z przypadku wypowiadają się i piszą.

W istocie rzeczy zalewa nas dzisiaj literatura teologiczna; tymczasem wiedza i mądrość w połączeniu z głębią są rzadkie jak zawsze. Kultem otacza się powierzchowne pytania i łatwe rozwiązania — zjawisko, chyba bardziej powszechne niż kiedykolwiek w przeszłości.

Pewnym probierzem dobrego teologa jest jego gotowość do głoszenia pośród ludzi dróg Bożych i to, iż nieskory jest do narzucania własnych opinii na temat tajemnic transcendentnych. Dobry teolog dużo czasu poświęca refleksji i nawet jeśli po długim milczeniu wypowiada się, wyczuwamy, że wolałby raczej słuchać. Nic nie zastąpi — ani w nauce, ani w teologii — długiego i żmudnego procesu zdobywania wiedzy. Aby znaleźć stosowną odpowiedź, należy zaatakować zagadnienie pod właściwym kątem.

STRUKTURY, AUTORYTET I TEMU PODOBNE

Duch ludzki powinien wzbijać się ku wyżynom bez ograniczeń; najdoskonalszych przejawów ludzkiego geniuszu, tworzącego ze starych form nowe, sztuki czy poezji nie powinny obowiązywać żadne prawa. Źródło życia bije z ludzkich serc i umysłów i żadne zewnętrzne bariery nie mogą niszczyć go czy ograniczać. Co więcej, gdy Duch Boży upodoba sobie ducha człowieka, wówczas jego wolność staje się imperatywem do tego stopnia, iż żadne prawo ludzkie nie może go krępować ani nawet nim sterować. Któż może ustanawiać normy dla Ducha Bożego czy też jego proroków?

Tymczasem Kościół obwarowany jest instytucjami i strukturami. Dostrzegamy je wszędzie. Obok domu znajduje się kościół parafialny i wszechobecny klasztor żeński, a nieco dalej męski, i nierzadko kolegium jezuitów. Zawiaduje nimi rada diecezjalna oraz biskup; ich obecność się narzuca. Konferencja biskupów może nas nie dotyczyć, a instytucje papieskie są odległe do momentu, kiedy ich formuły i zarządzenia nie odnoszą się bezpośrednio do naszego życia. Rzeczywiście, instytucjonalne struktury Kościoła stać się mogą przytłaczające, by nie rzec dławiące.

Niekiedy wydaje się, że zdradzamy Ducha na rzecz doskonale zorganizowanej społeczności. Zamykamy własnego ducha i Ducha Bożego w klatce naszych norm i praw.

To prawda, że równowaga między duchem i strukturami Kościoła uległa zachwianiu i to, czym obecnie dysponujemy, nie odpowiada naszym czasom. Z powyższego wynika, że powinniśmy dążyć do wypracowania między nimi lepszej harmonii. Ale nie oznacza to konieczności odrzucenia wszystkich zewnętrznych struktur. Równałoby się ono bowiem wyrzeczeniu się własnego człowieczeństwa. Potrzebujemy instytucji tak samo, jak nasze ciało szkieletu kostnego. Jest to czysto ludzka potrzeba.

Nawet trudne do wypowiedzenia Boże natchnienie potrzebuje słów ludzkich, by prorok mógł je wyrazić. Muzyka zrodzona w umyśle kompozytora potrzebuje instrumentu, by zachwycić nas swym brzmieniem.

Potrzebujemy struktur, gdyż potrzebujemy wspólnoty. Podstawową potrzebą ludzkości jest dzisiaj zniesienie podziałów i stworzenie jednej społeczności. Wraz z wyprawami ludzi na Księżyc Ziemia stała się zbyt mała, by pomieścić śmiertelnych wrogów czy narody rozdzielone nienawiścią. Także Kościół, jeśli pragnie być znakiem dla wszystkich narodów, składać się musi z ludzi, o których można powiedzieć: „Patrzcie, ileż w nich wzajemnej miłości!”

W czasach obecnych wspólnota oznacza jedność — jedność serc i umysłów, wspólną wielu umysłów wizję i jeden dla wielu serc cel. Będzie to możliwe jedynie wtedy, gdy w obrębie grupy powstanie ośrodek jedności, w którym skupią się i splecą wszystkie idee i aspiracje, wyrażające credo całej grupy. Ów ośrodek jedności, umożliwiający wielu jedność serc i umysłów, nazywamy autorytetem. Autorytet to żywe centrum jedności. Najwyższym autorytetem jest Chrystus. Czyż nie był On dla nas wszystkich, na przestrzeni historii, ośrodkiem jedności? Wspólnota potrzebuje autorytetu, bowiem bez niego nie ma ani centrum, ani źródła jedności. Gdy źródła tego zabraknie, zanika także postęp; zaś tam, gdzie brak postępu, brak również i życia. Przeto autorytet jest warunkiem i twórcą jedności, która jest niezbędna dla wspólnoty.

Próbujemy tu przedstawić jedynie prawa rządzące społecznością ludzką; w powyższym rozumowaniu nie ma niczego, co odnosiłoby się do chrześcijaństwa w szczególności, chociaż nasze rozważania znajdują zastosowanie również w Kościele chrześcijańskim. Bóg przyjął ludzką kondycję, uczynił ją częścią swoich własnych planów. Pragnął mieć grupę ludzi, będących czymś więcej niż zaledwie luźnym zbiorem wiernych; pragnął wspólnoty. Dlatego właśnie musiały powstać w Kościele ośrodki jedności. I dlatego istnieją. Dla diecezji jest to biskup, dla Kościoła powszechnego papież. Być ośrodkiem jedności to być prawdziwie pokornym; trzeba słuchać każdego i mówić do całej wspólnoty. Aby zapewnić ową pokorę ducha, Bóg zostawia zarówno papieża, jak i biskupów w ich własnej ludzkiej kondycji. Służąc sprawie jedności Kościoła nie

muszą oni odznaczać się najwnikliwszym wejrzeniem w sprawy Ewangelii ani też zawsze postępować w najlepszy z możliwych sposobów. Łaska najgłębszej mądrości i największej roztropności może przypaść w udziale każdemu z członków wspólnoty.

Charyzmat episkopatu winien wyrażać się w nadawaniu jedności działaniom i aspiracjom wielu i podtrzymywaniu ich w wierności Chrystusowi i Jego nauce. Nie będzie on jednak oddziaływał skutecznie, jeśli członkowie Kościoła nie wezmą na siebie obowiązku inspirowania swych przywódców i pomocy w podjętych zadaniach.

Struktury są tak właściwe rodzajowi ludzkiemu, jak szkielet ciała. Chrystus pragnął, by istniały i struktury, i instytucje. Duch wzlatuje jednak najwyżej wtedy, gdy mamy ich nie więcej, niż potrzeba. Im bardziej ludzcy stajemy się poprzez fakt istnienia niezbędnych struktur, autorytetów i tym podobnych, tym bardziej jesteśmy wolni i tym łatwiej duch nasz wzbija się ku niebu.

O NADZIEI

Od pewnego czasu żyjemy w cieniu teologii śmierci Boga. W swej postaci skrajnej nie była już ona *teologizowaniem*, bowiem zarzuciła próby zrozumienia tajemnic Bożych; raczej podała w wątpliwość potężne dzieła dokonane przez Boga na przestrzeni dziejów. Dla nas, społeczności chrześcijańskiej, słuchanie tego typu rozważań było szczególnie bolesne. Bez wątplenia dowiedzieliśmy się od owych autorów wiele prawdy o naszych niedociągnięciach językowych, poziomie prac teoretycznych, naiwnych przekonaniach. Ale kiedy sformułowali oni swe ostateczne wnioski, serca chrześcijan zamarały.

Szczęśliwie pałeczkę przejmuje dziś teologia nadziei i otwiera się przed nami prawdziwie nowy etap. Niesie on ze sobą wiosenny powiew ciepła i ufności. Z jego nadejściem budzi się w nas pragnienie wznoszenia w radości i weselu hymnów na cześć Pana życia.

Nadzieja rozgrzewa serce. Wszak człowiek nie może żyć bez przyszłości. Skupianie się jedynie na teraźniejszości obce jest jego naturze. Człowiek musi mieć marzenia. Napięcie między życiem teraźniejszym i marzeniem staje się życiodajną siłą; dzięki niej rodzą się nowe horyzonty.

Oczywiście chrześcijanie mają pewne marzenie, marzenie nieosiągalne i niedoścignione: pragną nieustannie, w nieskończoność czcić życie w obecności Tego, który je nam daje.

Marzenie to opiera się na wierności Boga, który obiecał nam swoje Królestwo. Jest ono marzeniem bardziej Jego niż naszym, pragnie On bowiem, byśmy wspólnie z Nim czcili życie. Ufność, iż Pan dochowa wierności, uwalnia nas od smutku i rozpaczony tego świata. Przed nami jest przyszłość; możemy mieć nadzieję. A mieć nadzieję znaczy żyć.

Nowa teologia nadziei rozwijając się mówi nam to wszy-

stko i wiele więcej. Zmaga się w walce o ustanowienie podstaw filozoficznych, ale uwagę skupia głównie na oczekiwaniu na przyjście Pana i nastanie Jego Królestwa, na naszym obowiązku przygotowania świata na to wydarzenie poprzez uczestnictwo we wszystkich wysiłkach, które tworzą i kształtują przyszłość. Nadzieja zawsze łączy się z przeszłością.

Jednakże chrześcijańska nadzieja ma jeszcze inny aspekt, którego nowa teologia nadziei dostatecznie nie eksponuje. Nadzieja wykwita nie tylko z oczekiwania na przyszły dar, lecz także z tego, co z całą pewnością teraz posiadamy. Chrześcijanie pokładają nadzieję w przyjściu Pana; a przecież Pan już z nimi jest. Chrześcijanie oczekują na Królestwo, lecz Królestwo już teraz jest w nich samych. To niewątpliwie paradoks. Lecz ów aspekt opierania nadziei na tym, co już posiadamy, jest równie ważny jak budowanie jej na przyszłych oczekiwaniach.

Zwycięstwo Chrystusa nad śmiercią było również zwycięstwem nad czasem. Zmartwychwstanie rozpoczyna nową epokę, w której przyszłość i teraźniejszość spotykają się, zachodzą na siebie, współhistnieją. Jest to sytuacja, której żaden człowiek nie jest w stanie dokładnie opisać. Jedynie poeta posługujący się językiem symboli czy szaleniec nie przejmujący się zawartymi w jego wywodzie sprzecznościami mogą dać o tym pewne wyobrażenie. Królestwo nie jest w istocie rzeczą darem, który otrzymać mamy w przyszłości: jest nam dane już dziś. Należymy do Chrystusa zmartwychwstałego, jesteśmy członkami jego rodziny. On to zsyła swego Ducha, dzięki któremu świat jest na nowo stwarzany. Żyjemy wśród nowego stworzenia, jesteśmy jego częścią. Tak bardzo, że święty Paweł rzekł niegdyś w uniesieniu, iż my już teraz dzielimy chwałę Chrystusa zmartwychwstałego. Jesteśmy ludem majątnym. I tego właśnie nowa teologia nadziei nie podkreślała dotąd dostatecznie wyraźnie.

Nie ma przeto powodu, dla którego mielibyśmy odkładać radowanie się życiem do czasu powtórnego przyjścia Chrystusa na ziemię. Nasza nadzieja jest żywym paradoksem. Jest to oczekiwanie przyszłego daru; a nawet coś więcej — to zarazem radowanie się darem, który już został nam dany. Królestwo jest z nami, choć w sposób ukryty. Mieć nadzieję to raczej radować się tym, co posiadamy dziś, niż oczekiwać nowego objawienia. Żyjemy przeto w szczęściu i nadziei.

TEOLOGIA CHLEBA

Jednym z największych darów, jakie może otrzymać człowiek, jest dar rozkoszowania się smakiem chleba. Mam oczywiście na myśli ten rzadki rodzaj chleba, który trudno dziś znaleźć. Musisz go szukać. Wiem, że w małej włoskiej piekarence w Bronx (dzielnica Nowego Jorku) sprzedają taki właśnie chleb. Tamtejszy piekarz piecze go dokładnie tak, jak robił to jego ojciec, a ten nauczył się swego fachu jeszcze w starym kraju. Ten chleb można znaleźć również w klasztorze, gdzie dobro ma tak szeroki zakres znaczenia, że odnosi się również do wypieku chleba. Trafić nań można i na leżącej gdzieś na środkowym zachodzie farmie, gdzie mimo różnicy pokoleń przetrwały szczytne ideały o tym, jak należy dobrze odżywiać rodzinę. Chleb ten znaleźć też można w sklepach zdrowego żywienia, jakby lekko zażenowany sąsiedztwem marchewek i przypraw rodem z Maroka. Chleb, o którym mówię, nie tknięty jest procesem zautomatyzowanej produkcji.

Jest coś cudownego w smaku tego chleba. Choć tak zwykły, jest jednocześnie znakomity. To chleb bardzo „demokratyczny”. Pożywiają się nim bogaci i biedni. Świetnie pasuje do mięsa i ryb, ale również do owoców i sera. Może powracać na stół trzy razy dziennie, a nawet pozostać na nim cały dzień i nigdy się nam nie znudzi.

Po prawdzie, nie chcielibyśmy odżywiać się samym tylko chlebem. Smarujemy go masłem, co niezmiernie podnosi smak. Nakładając nań potem miód otrzymujemy deser godny stołu średniowiecznego króla. Innymi słowy, zwyczajny smak chleba należy urozmaicić nadzwyczajnymi dodatkami. Od czasu do czasu potrzebna jest nam odświeżność. Przy specjalnych okazjach wydajemy wyszukane przyjęcia. Jednakże po jednej czy dwóch wystawnych ucztach jesteśmy przesyćeni i znów łakniemy

zwykłego chleba. Nie ulega wątpliwości, że potrzebujemy dni odświętnych; świętując jednak codziennie, nie świętujemy wcale.

Płynie z tego filozoficzny wniosek, iż potrzebujemy rzeczy zwykłych, takich jak choćby chleb, aby dzięki ciągle nowemu smakowaniu go podtrzymywać w sobie życie. Mając solidną podstawę z rzeczy zwykłych, możemy prawdziwie świętować i ucztować.

Zniszczyć smak tego, co zwyczajne, to naruszyć podstawy naszego życia. Potrzebujemy sporej dozy spokojnej monotonii, by znaleźć prawdziwą radość w wydarzeniach niezwykłych. W okresach uspokojenia budzi się w człowieku jego wewnętrzny duch. Nierozpraspany, człowiek może snuć refleksje na temat siebie i otaczającego go świata. Łagodny rytm powszedniości stwarza najlepsze warunki do prawdziwie głębokich rozmyślań. Wielkie dzieła i rzeczy nie rodzą się nigdy z płytkich myśli; wszystkie potężne drzewa mają głębokie korzenie. Inaczej obaliłyby je pierwszy silniejszy podmuch wiatru. Ten, kto pragnie nieustannie świętować, trzyma swego ducha na uwięzi.

Nadszedł czas, aby zacząć tworzyć teologię tego, co zwyczajne. Powinna to być teologia prostych posiłków, wytrwałej pracy, spokojnych spacerów i rozmów przynoszących odprężenie. Następnie powinna ona skierować uwagę na prosty kult, zwykłą liturgię, stanowiącą oprawę dla składanej na ołtarzach ofiary z chleba i wina. Nawet oddając chwałę Bogu nie możemy żyć codziennie nowymi, podniecającymi formami kultu — z tego samego względu, z jakiego nie możemy wyprawiać codziennie wyszukanych przyjęć. Gdyby tak się działo, zniszcylibyśmy świat całkowicie.

Nie powinno tu być nieporozumień. Z pewnością pragniemy twórczości. Jednakże niezbędne są okresy spokoju i refleksji oraz zwykły rytm dnia powszedniego, by z prawdziwej głębi wystrzeliła iskra twórcza. Od czasu do czasu chętnie słyszymy nową modlitwę o niespodziewanej i zaskakującej formie; bardziej potrzebny jest nam jednak czas, w którym powtarzamy znajome słowa, aby nasze serca i umysły, wolne od koncentrowania się na samych słowach i formach, mogły poddać się fali wiary i miłości wykraczającej poza możliwości ludzkiej ekspresji.

Aby rozkoszować się tym, co niezwykle, musimy dobrze poznać rzeczy zwyczajne. Aby cieszyć się wykwintnym

przyjęciem, musimy docenić chleb powszedni. Paradoks ten odnajdujemy również w Ewangelii. Jezus przyrzekł swoim wiernym uczniom niebiańską ucztę. Jednakże na czas oczekiwania nauczył ich modlitwy o chleb powszedni.

OBSERWUJMY PRZEMIANY, JEŚLI CHCEMY DOSTRZEC OBECNOŚĆ DUCHA

Kościół jest znakiem zbawczej obecności Boga pośród ludzi — uroczyście stwierdzili biskupi zgromadzeni na soborze, i my wszyscy w to wierzymy. Owa deklaracja wywołała tyleż radości, co i bólu. Pierwszą reakcją była radość — wypływała ze spełnionych oczekiwań. Sobór wyraźnie powtórzył starą prawdę: Kościół nie istnieje dla samego siebie, lecz dla wszystkich ludzi. Zdanie mówiące o *znaku* zadziało bardzo skutecznie, bez trudu obalając wiele barier i kładąc kres trwającej od wieków izolacji. Dobrze, że tak się stało. Znak to porozumienie.

Ból zaczęliśmy odczuwać później, ale ciągle on w nas narasta. Staje się coraz ostrzejszy, granicząc z udręką. Znak nie spełnia pokładanych oczekiwań. Jeśli Kościół jest znakiem obecności Bożej, winien być przepełniony pokojem, pięknem, świętością. Tymczasem jesteśmy podzieleni. Toczymy nasze niegodne spory na temat drobnych, codziennych spraw. Pośród ludu wybranego królują grzech. Byłoby to wybaczalne, gdyby chociaż hierarchię kościelną cechowała konsekwentna mądrość, dalekowzroczność, charyzmat. Jednakże biskupi zdają się mieć również znaczny udział w ludzkich słabościach. Ponadto tworzymy bezosobowe struktury i metody postępowania, przemieniające z upływem lat gorącą miłość Chrystusa w zimną literę prawa.

Wspaniała wizja zgromadzonych na soborze była wspólnym marzeniem, któremu pośród splendoru bazyliki Świętego Piotra pofolgowali biskupi. Nagie fakty przeczą tej wizji.

Kontrast pomiędzy ideałem a rzeczywistością wywołuje we wspólnocie kryzysy i napięcia. Pojawiają się różne reakcje i komentarze. Niektórzy kaznodzieje, zamykając oczy na sytuację rzeczywistą, głoszą wiernym, iż Kościół to Chrystusowa oblubienica bez skazy, wspólnota

doskonała. Wszelkie zło przypisują wszechobecności szatana, który wydaje się w naszych czasach aktywniejszy niż kiedykolwiek w przeszłości. Są i radykalni reformatorzy głoszący stanowczo, iż Kościół jest zepsuty do tego stopnia, że staje się anty-znakiem: znakiem mówiącym, że Królestwo znajduje się gdzie indziej. Wszystko, co dobre, dzieje się naprawdę poza wspólnotą chrześcijan. Między bogobojnym kaznodzieją i radykalnym reformatorem znajdują się rzesze wiernych. Wielu z nich jest oszołomionych, zagubionych i złaźnionych. Nie potrafią pójść za żadnym z tych skrajnych głosów. Wiedzą, że Kościół nie może być samą świętością; fakty i zdrowy rozsądek przeczą takiemu pojmowaniu rzeczy. Nie mogą się również zgodzić z tym, że w Kościele świętości w ogóle brak: otwarcie i w skrytości niejednokrotnie jej doświadczyli. Znajdując się pod słownym obstrzałem pragną światła, które umożliwiłoby im większą ostrość widzenia. Jakkolwiek by było, jeśli Duch Święty został posłany na ziemię, do wspólnoty chrześcijan, i pośród niej pozostaje, owa wspólnota musi być znakiem jego obecności. Jeśli tak nie jest, cóż Duch Boży robi między nami? Czy utracił swą moc przekształcania ludzkich serc?

Duch istnieje, a Kościół jest znakiem jego obecności. Jest znakiem o charakterze wyjątkowym.

Aby zrozumieć ten znak, zastanówmy się nad obecnością, którą wyraża. Jest to dynamiczna obecność osoby, która uzdrawia, zbawia i uświęca wspólnotę. Pośród ludu Chrystusowego rozgrywa się wielki dramat. Światłość wstępuje w mroki i dwie siły się zderzają. Dobre ziarno zostaje rzucone i walczy o miejsce, aby zapuścić korzenie: na skale, wśród chwastów, także i w żyznej ziemi. Do ciasta dodane zostają drożdże i następuje fermentacja.

Owa obecność jest zaczynem — przekształca wspólnotę. To proces, w którym istnieje wielki kontrast między początkiem i końcem. Znakiem takiej obecności nie może być czysty obraz świętości spuszczonej z nieba i nie tkniętej ręką ludzką. Jedynym prawdziwym znakiem może być pełne odegranie dramatu z udziałem wielu postaci uosabiających każdy stopień przemiany. Kościół jest znakiem, na który składa się niepokój, walka i ferment zesłane na ziemię za sprawą łaski Bożej, która poprzez wieki uzdrawia, zbawia, uświęca. Bez wszystkich wymienionych aspektów ten znak byłby mylący.

Im bardziej zgłębiamy Ewangelię, tym bardziej podtrzymuje nas ona w owej interpretacji wyraźnej obecności Boga. Gdy przebywający w więzieniu Jan Chrzciciel wysłał posłańców do Jezusa z pytaniem, czy Jezus jest Mesjaszem, otrzymali odpowiedź: „Idźcie i donieście Janowi to, coście widzieli i słyszeli: niewidomi wzrok odzyskują, chromi chodzą, trędowaci doznają oczyszczenia i głusi słyszą; umarli zmartwychwstają, ubogim głosi się Ewangelię. A błogosławiony jest ten, kto we mnie nie zwątpi” (Łk 7, 22—23). Jezus odwołuje się tu do procesu przemiany, będącego znakiem nowej obecności. Nie dziwny się, że w Jego otoczeniu spotykamy chromych, niewidomych, a nawet zmarłych. Bez nich nie byłibyśmy w stanie dostrzec, co może naprawdę działać wszechpotężna moc Boga. Ten sam schemat powtarza się w grupie dwunastu apostołów. Wezwani jako pierwsi przebyć musieli długą drogę, by pojąć duchową naturę Królestwa. Niejednokrotnie ujawniali swój brak zrozumienia. Czy nie ulegli przemianie synowie Zebedeuszowi, a nade wszystko Piotr? Proces ów jest znakiem wszechpotężnej obecności.

Bogobojny kaznodzieja nie dostrzega oczywiście tego znaku. Zauważa jedynie łagodną dobroć i siłę Jezusa. Uduje, że wszyscy z otoczenia Jezusa byli tacy sami jak On. Zaś radykalny reformator ma oczy przykute do dwunastu apostołów, którzy w wigilię Męki myślą głównie o swym bezpieczeństwie, i twierdzi, że jest to jedyne, co możemy dostrzec. Żaden z tych dwu nie wie jednak, co stanowi znak. Obaj są w błędzie.

Zbawcze dzieła Chrystusa trwają w Kościele i przez Kościół. Obecność Ducha Chrystusowego staje się widoczna, gdy mężczyźni i kobiety rodzą się po raz wtóry, żałują za grzechy i są nieustannie uzdrawiani. Pomimo wielu upadków wracają ze śmierci do życia, by świadczyć o sile łaski. A więc grzesznicy są niezbędni.

Kościół jest znakiem, bowiem światło zwycięża ciemności, dobre ziarno wypuszcza korzenie, a ciasto ulega fermentacji. Obserwujmy przemiany, jeśli chcemy dostrzec obecność Ducha. Nie występujmy przeciw wspólnocie, dlatego że jest w niej wiele słabych, kruchych trzcin i drzew nie dających owocu. Dla nich łaska Boża na zawsze pozostanie zakryta.

POCHWAŁA BŁAZNÓW

W wiekach średnich i później na dworach książąt, królów, a nawet biskupów urząd błazna miał znaczenie ogromne. W warstwie zewnętrznej funkcja błazna sprostawała się do zabawiania wszystkich bez wyjątku. Poza tym jednak pozostawała mu do odegrania jeszcze jedna rola: mówienia prawdy w żartobliwy sposób. Błazen mógł wszędzie wejść. Miał dostęp do króla i do kuchni. Odróżniał go od innych błazeńskich strojów. Pod tym przebraniem mógł wskazywać, co jest mądrością, a co głupotą. Mógł powiedzieć królowi, co myśli o jego rządach, i nie było to obraźliwe, ponieważ pochodziło od błazna. Głowa zwykłego szlachcica potoczyłaby się, nim by się zdobył na znacznie mniejsze zuchwalstwo.

Świat bez błaznów stał się znacznie uboższy. Na scenie politycznej nie mamy dziś nikogo, kto w błazeńskiej szacie stanąłby przed królami i książętami, prezydentami i gabinetami ministrów wskazując im pośród śmiechu, gdzie leży prawda. Prawda może być okrutna, lecz nie wtedy, gdy pochodzi od błazna. A jednak może wnikać głęboko — ponieważ jest prawdą.

Z braku błaznów nasze debaty nabierają dziś nader poważnego tonu, politycy wygłaszają wzniosłe deklaracje i jadowite przemowy. Artykuły redakcyjne są pompacyjne i cierpkie. A ponieważ brak nam poczucia humoru, który byłby przewodnikiem ku mądrości, nawet gdy ze słów przebija mądrość, często pochopnie ją odrzucamy.

Sytuacja ma się niewiele lepiej w społeczności chrześcijan. Zdają się cierpieć na całkowity zanik poczucia humoru. Jest to, być może, skutkiem chronicznego braku spokojnych rozmyślań. Tylko osobę zdolną do rozmyślań stać na właściwą ocenę rzeczy. Ma czas, by zachwycić się bezmiarem oceanu i docenić nieporadny wdzięk homara. Zna prawdziwą miarę rzeczy i dlatego potra-

fi wybuchnąć śmiechem, gdy tracą właściwe proporcje. Odczuwa ciągłość czasu rozpościerającego się od spowitych mgłą początków do pełnej niewiadomych wieczności. Śmiech ją ogarnia, gdy ktoś, sławiąc ponad miarę chwilę obecną, wypiera się przeszłości i uznaje, że na nim postęp się kończy. Przecież wiele się jeszcze wydarzy. Śmieje się również, gdy ktoś wobec nieskończoności kosmosu twierdzi, iż jest centrum wszechświata.

Jeśli nasza liturgia miałyby zostać odświeżona, do nowych litanii w intencji Kościoła przydałoby się, być może, dołączyć błaganie: „Od tych, którzy biorą siebie zbyt poważnie, wybaw nas, Panie!” oraz „Łaskę pogodnego nastroju racz nam dać. Panie!” Jak wiele problemów zostałoby rozwiązanych, gdyby stojący naprzeciw siebie znali swe własne ograniczenia w czasie i przestrzeni. Gdyby mogli otworzyć swe serca na potęgę Boga, wielkość chrześcijaństwa i na wszystkie skarby, jakie przynosi ze sobą przyszłość — z rozbawieniem śmialiby się z siebie i wielu swych zmartwień.

Nie sugeruję, iż papież i biskupi winni przywrócić do życia instytucję nadwornych błaznów. Mogłoby to zostać źle zrozumiane. Nasza epoka atomu nie ma dość cierpliwości dla pełnej wdzięku poetyki mądrego błazna.

Wiele społeczności religijnych poszukuje jednak nowych dróg służenia Bogu i ludziom. Czy mogłyby one dokonać przełomu i służyć nam wszystkim jako mądre błazny? Mają i dowcip, i mądrość, a Bóg jeden wie, jak wielka istnieje potrzeba nowego apostołstwa.

FILOZOFIA WINA

Trzeba być nowym imigrantem do Stanów Zjednoczonych, aby docenić kryjące się w tej ziemi bogate możliwości i dobroć cechującą ludzi, którzy na niej osiedli. Przyznać trzeba, wiele tu przejawów gwałtu, lecz drodze ku dojrzałości zawsze towarzyszą wstrząsy. Europa doświadczyła ich znacznie więcej na przestrzeni swych dziejów. Przede wszystkim dostrzegamy tu dynamizm będący oznaką życia. Zauważamy również zapał do nauki i poznania nowego, będący znakiem pokory. W istocie rzeczy cechy pozytywne znacznie przewyższają negatywne. Na ziemi tej nadzieja jest silniejsza od rozpacz. Lud, który z dzikiej głuszy stworzył w krótkim czasie nowy kontynent; naród, który otrząsnął się z psychicznych i fizycznych obrażeń wojny domowej ma świata ciągle wiele do zaoferowania.

Istnieją jednak także problemy, a ich przyczyny są wielorakie. Niektóre wymagają zastosowania radykalnych środków: zająć się nimi powinni specjaliści, a badacze wywierając nacisk wspierać tych pierwszych. Nie zamierzam w tym miejscu wyliczać wszystkich tych problemów ani też wyodrębnić najistotniejszych. Jak można by tego dokonać? Chcę jednakże wskazać na jedno ze źródeł zła, którego złagodzenie wyszłoby na korzyść całemu narodowi.

Jednym ze źródeł naszych problemów jest fakt, że Amerykanie nie piją wina, a nawet pijąc je nie traktują tej czynności z dostateczną powagą.

Wino zajmowało godne miejsce w Biblii. Przypomnijmy dramatyczną historię Noego; to, jak odkrył wino, i cenę, jaką musiał zapłacić za możliwość delektowania się nim. Księga Ksiąg obfituje w opisy gościnnych winnic pełnych spokoju, pieśni i miłości; zniszczone winnice są oznaką upadku narodu. Chwałą otoczone jest wino, napój dobry i łagodny, napęlniający weselem nasze serca.

W Nowym Testamencie wino zestawione jest z chlebem, wspólnie stanowiąc pożywienie, które nas podtrzymuje. Pokrzepiające nasze serca chleb powszedni i wino stają się znakiem obecności Boga pośród nas.

Wino jest wielce wysublimowanym napojem. Nie wypija się go jednym haustem; należy je smakować, delectować się zarówno jego smakiem jak i zapachem; nie pobudza gwałtownie (czyż można pobudzić naszego ducha szarpnięciem?), lecz jego działanie stopniowo w nas narasta, aż serce się rozgrzeje, a mowę zabarwi radość i prawda. Istnieje nieskończona różnorodność smaków wina. Możemy i powinniśmy każdego dnia próbować jego nowe gatunki. Każde wino ma swoją własną „osobowość”: jedno jest słodkie, drugie wytrawne, jedno ciężkie, inne lekkie. Jedno świetnie pasuje do ryby, inne zaś do mięs; jedno podajemy schłodzone, inne smakuje najlepiej, gdy ma temperaturę pokojową.

Widzimy, jak wiele pełnego umiaru smaku i sztuki wymaga picie wina. W istocie rzeczy sztuka to tak subtelna, że nie sposób rozkoszować się nim bez towarzystwa przyjaciół. Wino jest napojem „demokratycznym”, łączącym ludzi w spokojnej rozmowie. Stawiając na stole butelkę mocnego czerwonego wina i dobrze dojrzały ser zgotujemy królewską ucztę tak biedakowi, jak bogaczowi.

Zacny obyczaj picia wina jest największym wrogiem wszelkiego rodzaju ciasnego racjonalizmu. Czyż znajdzie się taka granica, przez którą w tym czy innym czasie nie wędrowały antałki lub butelki, wypełnione owym cudownym płynem otrzymywanym z winogron?

Wino pije człowiek skłonny do rozmyślań; picie wina sprzyja spokojnej refleksji. Właśnie tego potrzebuje Ameryka, by uderzyć w samo źródło zła: spokojnej refleksji. Potrzebujemy zastanowienia, by zrewidować cele polityki zagranicznej naszego kraju. Coraz wyraźniej uzmysławiamy sobie, iż zła tego świata nie da się wytrzebić zrzucając bomby. Zostawiają one rany i tragiczne wspomnienia, przyczyniając się z czasem do jeszcze głębszych podziałów między ludźmi. Staje się też coraz jaśniejsze, że rozdawanie pieniędzy i żywności łagodzi jedynie głód i nędzę, jednakże im nie zaradza. Należy odbudować godność człowieka; to zaś wymaga przemyślanych działań, bowiem człowiek jest istotą nader złożoną. W nadchodzących latach przekonamy się, iż wraz ze wzrostem

przemocy w miasteczkach uniwersyteckich obniżyć się będzie poziom akademicki. Oddani służbie myśli naukowcy (zwykle ludzie odrzucający wszelką przemoc) stopniowo zaczną odpływać z ogarniętych niepokojem ośrodków.

Gdybyśmy częściej gromadzili się przy winie i serze, aby rozważać nasze problemy i — miast reagować przemocą — uczciwie szukali rozwiązań, wówczas jedno ze źródeł zła zostałoby stopniowo usunięte. Ameryka łaknie pełnego skupienia zastanowienia, spokojnej rozmowy, a nawet cichej kontemplacji. Nie rozwiążemy dręczących nas problemów, dopóki naród nie odnajdzie spokoju duszy, przy szklance wina jednoczącej biednych i bogatych, czarnych i białych.

KWESTIA PRZETRWANIA

Parę lat temu na spotkaniach chrześcijan, które dotyczyły stanu ich Kościoła, przeważało poczucie pewności. Był to rodzaj pewności, jaką może mieć lekarz, który siadając przy łóżku pacjenta widzi, iż choroba nie jest problemem dla nowoczesnej medycyny; wie, że choroba wkrótce ulegnie przesileniu. Jednakże przewidywania lekarza bywają niekiedy błędne; pojawienie się nowego wirusa może sprawić, iż błaha choroba zagrozi życiu. W chwili obecnej spotkania zaangażowanych chrześcijan przebiegają pod znakiem wielu wątpliwości i pada przygnębiające pytanie — raz wyszeptane nieśmiało, kiedy indziej wypowiedziane głośno: czy Kościół przetrwa?

Lekki ton wypowiedzi prasy na temat ery po-chrześcijańskiej, o humanizmie bez chrześcijaństwa czy też chrześcijaństwie bez religii nie służy poprawie panującego ogólnie nastroju. Jak zawsze w czasach przygnębienia pojawiają się kaznodzieje o dobrych intencjach, głoszący, że musimy walczyć o przyszłość Kościoła, i to walczyć wytrwale. Kilka lat temu mówiliśmy o chorobie, która niewątpliwie zostanie przewyciężona; dziś jest to kwestia przetrwania.

Gdyby żył uwieczniony w Dziejach Apostolskich mądry rabbi Gamaliel, śmiałyby się skrycie z owych zaangażowanych chrześcijan, którzy z kamiennymi twarzami i bez cienia humoru walczą o przeżycie. Pokiwałby głową i powtórzył swoją prostą mądrość: „Jeżeli bowiem od ludzi pochodzi ta myśl czy sprawa, rozpadnie się, a jeżeli rzeczywiście od Boga pochodzi, nie potraficie ich zniszczyć i może się czasem okazać, że walczyście z Bogiem”.

To upokarzające, że po dziewiętnastu z górą stuleciach słowa Gamaliela w takiej mierze odnoszą się także do nas. On jednak musiał wiedzieć: wypowiedział niegdyś swoje proroctwo i okazało się ono słuszne. Instytucja tak absurdalna jak Kościół chrześcijański (oparta na najwięk-

szym dla człowieka paradoksie, iż Bóg stał się człowiekiem) musi się albo rozpaść, albo mieć wsparcie od Boga, aby przetrwać. Jeśli jest wspomagana przez Boga (a sam fakt przetrwania jest na to silnym argumentem), żaden człowiek nie może jej ocalić ani skazać na zagładę.

Zaangażowani chrześcijanie potrzebują cichej wiary i ogromnej pokory. Kościół, o który się niepokoją, nie należy do nich, lecz do Chrystusa. Nikt ich nie prosi, by decydowali o przetrwaniu Kościoła. Zostało to ustalone dawno temu, na brzegu jeziora Genezaret, w dniu zesłania Ducha Świętego. Bóg nie opuści swojego ludu i lud będzie zawsze istniał dla Niego. Przebywanie z człowiekiem jest Jego wielką radością. A czy ktoś może Go tej przyjemności pozbawić?

Czy wniosek z tego, iż Bóg nie potrzebuje w umacnianiu swego Kościoła naszej pomocy? Wręcz przeciwnie. Wobec istniejącego w świecie porządku miałby kłopot z poradzeniem sobie bez naszej współpracy.

Wszystko to brzmi może nieco sprzecznie, lecz po zastanowieniu się stwierdzamy, że nasz Bóg jest Panem niespodzianek i dlatego najbliższej prawdy jesteśmy, mówiąc o Nim zdaniem pełnymi paradoksów i sprzeczności.

Przetrwanie Kościoła jest niewątpliwie uzależnione od Bożej wierności. Przymierze, które nas w niej upewniło, dopełniło się w osobie Chrystusa. Bóg nie ma już wyboru — musi wywiązywać się ze swej obietnicy.

Aby jej dotrzymać, potrzebuje jednak naszej współpracy. Dobra nowina nie może się szerzyć bez pomocy kaznodziejów. Sakramenty nie mogą być udzielane bez uczestnictwa człowieka. Bez pomocy słów i rąk ludzkich widzialne i namacalne gesty Chrystusa nie mogłyby być powtarzane na przestrzeni historii. To nie pelagianizm; to prosta, czysta prawda. Bóg tak urządził świat, że bez naszej współpracy Jego potężne dzieło zbawienia nie miałoby żadnego widocznego skutku.

W pewnym sensie prawdziwe jest twierdzenie, iż przetrwanie Kościoła spoczywa w rękach człowieka. Prawdą jest też, że Bóg pragnie, byśmy Mu służyli. Inaczej nie miałby ludu, który Go zna, kocha i czci. Stałby się nieznanym bóstwem, istniejącym nie wiadomo gdzie.

Prawdą jest też, iż nie potrzebuje wojowników walczących zacięcie w obronie Królestwa. Chrystus nakazał Piotrowi odłożyć miecz i nie pozwolił użyć przemocy. Oj-

ciec miał w stosunku do Jezusa inny plan niż wybawić Go dzięki mieczowi Piotra.

Przetrwanie Kościoła jest owocem łaski, która działa w nieprzewidziany sposób w wielu sercach i wywołuje zadziwiające skutki. Miało to miejsce w historii wielokrotnie. Kiedyż staniemy się dostatecznie przenikliwi, by uczyć się dróg Bożych z przeszłości? Fakt, iż Kościół przetrwał czasy barbarzyńskie, upadek Cesarstwa Rzymskiego i okres zamętu towarzyszący wielkim wędrówkom ludów, był w dużej mierze dziełem mnichów, którzy stworzyli silne i pełne wiejskiego uroku Monte Cassino i z czasem ponieśli dobrą nowinę po całej Europie. Do przetrwania Kościoła w późnych wiekach średnich przyczynili się wielce dominikanie i franciszkanie. W czasach gdy świtała nowa epoka, właśnie ich modlitwy i nauki stanowiły silny czynnik spajający. W okresie późniejszym, u progu epoki nowożytnej, księża, którzy od Ignacego Loyoli nauczyli się, jak być posłusznym Duchowi Świętemu, wnieśli duży wkład w umacnianie chwiejnego gmachu chrześcijańskiej wspólnoty. Osiągnęli to nie drogą walki zbrojnej (bowiem uciekając się do tego sposobu nie dopięli nigdy swego), lecz nauczając swych bliźnich, jak się modlić i dobrze czynić.

Równoległe do tych wielkich zjawisk istniało jeszcze jedno, nie mniej istotne. Kościół rozwijał się poprzez cichą wiarę i miłość, wypełniające domostwa chrześcijan. Wiele matek i ojców, nie tak znanych jak wielcy święci, było równie ważnymi budowniczymi Królestwa Bożego.

Przetrwanie Kościoła Bożego nie zależy od sposobów dostępnych ludziom. Gamaliel wiedział, że Kościół przetrwać może dzięki Bożej wierności. Jak dobrze jest, spoglądając wstecz po dziewiętnastu stuleciach, stwierdzić, iż Bóg okazał się wierny. Gdyby Kościół był instytucją ludzką, dawno temu nastalby jego kres. Wszelkie człowiecze wysiłki dokonywane przez chrześcijan na przestrzeni stuleci nie są dostatecznym wytłumaczeniem faktu przetrwania Kościoła. Nawet dziś ktoś patrzący z boku na nasz oczywisty niepokój i niedociągnięcia stwierdzi po prostu, iż zdążamy szlakiem, który sprowadza nas ze sceny historii. I tak by było, gdyby nie Duch Święty, sterujący drogą całej instytucji Kościoła, łącznie z papieżami, biskupami, księżmi i ludźmi świeckimi. W procesie tym Ten, który kazał nam o sobie myśleć jako o

nieużytecznych sługach, poprzez łagodne oddziaływanie Ducha Świętego prosi o naszą posługę.

Przypomnijmy Apostoła Pawła, nauczającego około 50 roku po Chrystusie. Miał on bezsprzeczne prawo mówić o kryzysie. Musiał odczuwać miazdzącą siłę otaczającego pogańskiego świata, przygniatającego małe, pączkujące wspólnoty. Nigdy jednak o przetrwaniu nie mówił. Jego umysł przepelniała wizja Pana zmartwychwstałego, a serce było zniewolone ujawniającą się w historii ludzkiej tajemnicą miłości Boga. Doświadczył cudownego, odurzającego wyczekiwania. Takie jest życie chrześcijanina.

KTO JEST DOBRYM BŁAZNEM?

Spółeczność, która prawnie ustanawia urząd błazna, czyni wielki krok naprzód, wręcz uchyla drzwi przyszłości. Członkowie społeczności zobowiązują się wówczas słuchać głosu kogoś, kto ze swej strony podejmuje się mówić bezstronną i obiektywną prawdę. Iść za głosem prawdy to zmierzać prosto ku przyszłości, nie zbaczając na żadną krętą ścieżkę, zwłaszcza iż fałsz nie na długo może się ostać w burzliwym biegu historii. Zatem mieć we własnym otoczeniu błazna to opowiedzieć się za postępem.

Jednakże należy przedsięwziąć niezbędne środki ostrożności. Opowiedzenie się za prawdą nie czyni człowieka nieomylnym. W istocie rzeczy trudno o bardziej niebezpieczną osobę niż ta, która jest przekonana zarówno o słuszności własnej opinii, jak i nieomyślności własnego widzenia świata. Gdy przeto problem błazna zostaje rozstrzygnięty, a urząd zatwierdzony, należy dołożyć wszelkich starań, by obrany został właściwy człowiek. W innym razie to, co się dobrze zaczęło, może się smutno skończyć.

Rodzi się zatem pytanie: Kto nadaje się na dobrego błazna? Błaźństwo jest sztuką niedostępną dla osób nie znających się na rzeczy. Tymczasem trudno o osoby o odpowiednim przygotowaniu, a nawet jeśli znajdzie się ktoś właściwy do objęcia tej funkcji, należy go uważnie obserwować. Aby dokonany wybór okazał się słuszny, a błazen spełniał wymogi zawodu, warto wymienić kilka pożytecznych uwag.

Nie może być błaznem ten, kto po oceanie nie potrafi żeglować samotnie. Nie znaczy to, że jedynie żeglarz ma odpowiednie kwalifikacje, by zostać błaznem. Prawdziwy sens tego zdania jest taki: ten, kto nie umie żeglować samotnie, nie może poświęcić się prawdzie. W społeczeństwie naszym wiele zagadnień traktuje się z punktu wi-

dzenia polityki. Dzięki umiejętności przekonywania przywódcy tworzą partie polityczne i starają się nakłonić obywateli do udzielenia im poparcia. Wielka będzie zawsze dla polityków pokusa, by wykorzystać błazna dla własnych celów. Jedni powiedzą: „Nasze stanowisko jest tak słuszne, że nawet błazen jest z nami!”, inni zaś: „Spójrzcie na ich partię, tylko błazen jest z nimi!” W rzeczywistości zaś droga błazna musi być samotna, bez ustępstw na rzecz którejkolwiek ze stron. Nie powinien dać się wciągnąć w tego rodzaju walkę, nie na tym polega jego rola. Posuwa się do przodu raczej niby mała łódeczka z wesołymi wzorkami na żaglu. Nie może ani nie powinien oczekiwać poparcia od nikogo; jego siła wewnętrzna winna zatem znacznie przewyższać siłę przeciętnej jednostki.

Nie będzie dobrym błaznem ten, kto nie jest w stanie sięgnąć wyobraźnią poza rzeczy mu znane. Trudno tę cechę sformułować, wyjaśnijmy więc ją. Błazen powinien patrzeć na czasy, w których żyje, z dystansem, a zarazem znać przeszłość, aby móc doradzić swoim współczesnym, skłonny powtarzać błędy popełnione przez pokolenia wcześniejsze. Winien ponadto, co ważniejsze, mieć świadomość tego, jak nietrwałe są wartości dnia dzisiejszego. Nie było w przeszłości okresu, w którym człowiek ulegałby większej pokusie upajania się swoimi sukcesami niż w chwili obecnej. Postawiwszy parę kroków na Księżycu w euforii zapomina, że pozostaje do zbadań niezmierny wielki wszechświat. Rozdziela i łączy cząstki atomu i w chwale odniesionego sukcesu, otoczony chmurą w kształcie grzyba, zapomina, że nie wie, skąd owe cząstki pochodzą. Dobry błazen powinien wybiegać spojrzeniem poza teraźniejszość i mieć świadomość, iż wystarczy pięćdziesiąt lat, byśmy stali się wiekowi i staroświeccy. Nie powinien przypochlebiać się swoim współczesnym, lecz przypominać im raczej, że jedyne, co mogą, to uczynić niewielki krok do przodu w nieskończonym ciągu historii wszechświata.

Dobry błazen ocenić powinien słodko-gorzki smak chińskiej kuchni. Nietrudno z apetytem zjeść stek czy rozkoszować się słodkim deserem. Sztuką jest jednak połączenie pieprzu z cukrem. Szczególnie my, Amerykanie, mamy skłonność do rozdzielania odmiennych smaków. I nasza polityka, i ruchy społeczne są raczej bezpardonowe i zabarwione goryczą; nie potrafimy przyprawić ich odrobiną słodczy. Dlatego, aby się odprężyć, uciekamy

w świat filmów i spektakli przedstawiających wymarzoną cukierkową iluzję, bez ziarna goryczy prawdziwego życia. Dobry błazen jednoczy społeczeństwo w swojej osobie. Dzięki jego wyteżonej pracy okrucieństwo prawdy i piękno marzenia splatają się ze sobą. Z tej przyczyny krótko możemy się cieszyć dobrym błaznem, bowiem spala się on w swej pojednawczej misji mówienia prawdy wśród śmiechu.

Dobry błazen śmieje się nawet z pękniętym sercem. Błazen jak każdy inny człowiek potrzebuje współczucia i zrozumienia. Jego urząd wyróżnia się oczywistą sprzecznością. Ubiór świadczy o tym, że nie powinien być traktowany poważnie; mądrość natomiast nie pozwala na lekkie traktowanie jego słów. Ta paradoksalna sytuacja otwiera szerokie pole dla wszelkich pomówień. Ci, którym się nie spodoba jego strój, orzekną, iż przez jego słowa przebija fałsz lub wręcz czysta głupota. Zaś ci, którym nie w smak będzie jego mądrość, odsuną się od człowieka w błazeńskiej szacie. Błazen nie ma możliwości obrony przed żadnym z tych ludzi. Jego poczucie humoru i mądre słowo nie zawsze są wynagradzane. Nieczęsto usłyszy „dziękuję”, choć tak ludzka jest potrzeba pochwały po uczciwym wysiłku i dobrym czynie. Któż by dziękował błaznowi? A przecież od innych odróżnia go jedynie powołanie. Dlatego niekiedy serce jego krwawi.

Być błaznem to niewątpliwie powołanie szczególnego rodzaju. Wymyka się wszelkiej definicji i tylko poeta może próbować oddać mu sprawiedliwość. Przypominam sobie pewien wiersz, przeczytany niegdyś po włosku:

Kiedy stracisz wszystko
i nie masz już nic
prócz dwóch kawałków chleba,
pozostałych w kieszeni:
sprzedaj jeden
i kup za to kwiat,
by mieć strawę dla ducha.

...Któż, jeśli nie błazen, tak by postąpił?...

ZABAWA CZY WALKA?

Zabawa od dawien dawna fascynowała człowieka i wymykała się wszelkiej naukowej klasyfikacji — do tego stopnia, iż niedawno socjolog (i teolog) Peter Berger wyniósł ją ponad wszelkie zwykłe kategorie i umieścił na skraju wieczności twierdząc, iż poprzez nią rozbrzmiewa pośród ludzi brzęczenie aniołów. Zabawa odsłania nam rzeczywistość wykraczającą poza widzialny i namacalny świat.

Kiedy zabawa przeistacza się w grę, przyjacielską utarczkę między dwoma przeciwnymi drużynami, mierzącą ich siły na skraju wieczności, wytwarza się wówczas szczególnego rodzaju ożywienie. Rozrywka jest tak doskonała, iż każda widowiskowa gra gromadzi również wielkie tłumy i wszystkich ogarnia ten sam duch. Podczas rozgrywki pomiędzy znakomitymi drużynami czas zdaje się zatrzymywać, znikają wszystkie ziemskie problemy i brzęczenie aniołów wypełnia cały stadion. Ludzkość odnajduje swego ducha.

Skoro zabawa jest rzeczą wspaniałą, powinniśmy baczyć, aby jej nie zniszczyć. Jak mawiali starożytni filozofowie, im rzecz jest lepsza, tym straszniejszą stać się może, gdy jej dotknie zepsucie. Istotnie trudno o coś brzydszego, niż gdy zabawa, pełna ducha ożywienia, przeistacza się w bezsensowną walkę czy dżentelmeńska gra w zajadły pojedynek.

W Kościele takim brzęczeniem aniołów mogłyby być dla nas wszystkich rozgrywki i gry teologów. Praca ich dotyczy lepszego rozumienia tajemnic Bożych; pozostaje zatem dużo miejsca na grę. Nowe aspekty uwidaczniane przez różnych badaczy mogą wywołać ożywienie podobne rodzącemu się podczas rozgrywki sportowej. Z fascynacją obserwowalibyśmy ich potyczki. Czyż tak dawno temu widywaliśmy teologów przemawiających na targowiskach i przyciągających tłumy?

Tu i tam zdarzy się jednak, że do dyskusji zakrada się cierpkie słowo i zabawa przemienia się w wojnę; radosny duchowy pojedynek niepostrzeżenie przeradza się w żartą kłótnię. Strony się ściśle określają i uosabiają z pewnymi przekonaniem. Dzisiaj przeciwnicy dzielą się na konserwatystów i postępowych. Pęknięcie jest tak głębokie, iż kiedy na przyjęciu ktoś przyzna, że jest teologiem, musi określić spod jakiego znaku — konserwatystów czy postępowych, podobnie jak niegdyś chrześcijanie i Turcy mieli obowiązek dla odróżniania się znaczyć swoją zbroję. Od tej chwili liczy się jedynie kwestia lojalności wobec „Sprawy” i jej domniemanych proroków, a wszelkie indywidualne myślenie staje się niedopuszczalne. Rozprzestrzeniająca się wojna prowadzi do ruiny i głodu.

Prawdziwy rozłam w Kościele nie przebiega jednak pomiędzy konserwatystami i postępowymi, lecz między ludźmi o otwartych umysłach i miłujących sercach oraz tymi o ciasnych umysłach i zimnych sercach. Ów rozłam sięga bardzo głęboko i czyni niewypowiedziane szkody.

Człowiek o otwartym umyśle zawsze jest gotów słuchać i przyjmować wiedząc, iż nie osiągnął swego ostatecznego rozwoju. Osoba o ciasnym umyśle lubi mówić i dawać w przekonaniu, że już osiągnęła doskonałość. Człowiek o miłującym sercu chętnie pójdzie za tym, kto go poprowadzi do przodu, bowiem wie, iż więcej jest rzeczy mu nie znanych niż wiadomych. Człowiek o zimnym sercu na zawsze pozostanie w tym samym miejscu, jest bowiem przekonany, iż wszyscy winni być jego uczniami.

Budować Kościół mogą tylko ci, których umysły są otwarte, a serca gorące. Ludzie o ciasnych umysłach i zimnych sercach wpływają na nas paraliżująco.

Nie pozwólmy jednak wprowadzić się w błąd, bowiem linia podziału nie jest taka wyraźna. Po obu stronach mamy do czynienia z młodymi i starymi, mężczyznami i kobietami, ludźmi świeckimi i duchownymi. Istnieją zarówno konserwatyści o otwartych umysłach, jak i postępowi o sercach jak lód. I odwrotnie.

Są to naturalnie kategorie uproszczone, zaś w każdym z nas jest coś z otwartości i ciasnoty. Jednak Bogu i ludziom służymy otwierając nasze umysły na nowe spojrzenia i gorliwie podejmując ryzyko nowych poszukiwań. Nie jest wówczas tak bardzo istotne, że jeden z nas jest

konserwatystą, drugi postępowym. Różnice zdań prowadzą do ożywczej rozgrywki. Teolog rozumiejący i kochający naszą przeszłość, i wiedzący zarazem, iż Duch Święty ciągle pośród nas działa, jest błogosławieństwem dla wspólnoty chrześcijan. Teolog, który skupia swą uwagę na przyszłych dokonaniach Ducha Świętego, a równocześnie widzi, że światłość zdąza do nas również z przeszłości, jest pionierem naszego postępu. Rozgrywka pomiędzy owymi dwoma grupami — konserwatystami i postępowymi o otwartych umysłach i gorących sercach — stać się może ponownie brzęczeniem aniołów w naszym Kościele. Lud Boży będzie pospołu z aniołami czerpać z tego radość.

KOŚCIÓŁ I POLITYKA

Czasy nasze są czasami budowniczych świata, czasami pionierów poszukujących nowych granic. Przeto trudno o postawę gorszą niż ta, którą charakteryzuje chłód, dystans i brak zaangażowania w chwili, gdy inni stawiają trwałe fundamenty i wznoszą pełne wdzięku łuki katedr dla nowych pokoleń, kiedy odkrywcy pośród tysiąca niebezpieczeństw przecierają drogi ku nieznanemu.

Odnosi się to do wielu poziomów życia społecznego, a do polityki na pewno. W tej sferze powstają nowe wymiary życia społecznego i wznoszone są nowe struktury mające nas przybliżyć do złotego dla człowieka wieku. Chrześcijanie słusznie więc chyba dążą do tego, aby ich Kościół nie stał na uboczu, chłodny i niezaangażowany, podczas gdy walka trwa i zaczyna wyłaniać się nowy kształt świata. Kościół znajdować się winien w samym środku tych spraw, politycznie zaangażowany i zawsze czynny.

Podobnie jak wiele uproszczonych twierdzeń, to również brzemienne jest w prawdę i wydać może zdrowy owoc. Jednak zachowanie ostrożności jest niezbędne. Jeśli proces narodzin nie odbędzie się przy właściwej asystencji, na świat może przyjść potwór lub też świat może ujrzeć potwora.

Każdy chrześcijanin powinien zaangażować się w dzieło budowania świata i poszukiwania nowych granic. Włączenie się do tej pracy winno być nie tylko skutkiem jego zainteresowania się inżynierią czy geografią. Powinno być owocem wiernej służby Chrystusowi, dzięki któremu powstały wszystkie rzeczy. Kształtować oblicze ziemi czy szukać nowych granic znaczy z pokorą wspomagać dzieło Syna — Słowa będącego źródłem życia i postępu. Polityka nie może być wyjątkiem, bowiem dzięki dobrym politykom życie ludzkie może zostać wielce udoskonalone. Dystansowanie się i przyjęcie postawy chłodnej i obojęt-

nej wobec spraw polityki jest postawą niegodną chrześcijanina.

Aktywność w życiu politycznym jest więc obowiązkiem każdego chrześcijanina. Członkowie kleru i wspólnot religijnych nie są tu wyjątkiem, są bowiem przecież obywatelami. Żyją w tym świecie, mimo iż znakomita część ich działania skierowana jest ku przyszłemu. Powinni zatem pospołu z innymi nieść ten ciężar.

Jeśli każdy chrześcijanin potraktuje swój obowiązek poważnie, jest rzeczą oczywistą, iż powstanie ogromna różnorodność punktów widzenia, postaw, decyzji. Kościół oficjalny, to znaczy reprezentowany przez hierarchię, winien respektować tę różnorodność, radować się nią i stać za członkami swojego Kościoła, niezależnie od wygłaszanych przez nich opinii. Kościół powinien akceptować i bronić ich prawa do wolnego wyboru tego, co uznają za najlepsze, i nie narzucać żadnych opinii. Winien strzec osoby podejmującej decyzję, nie zaś samej decyzji.

Jak się ustosunkowuje do tego Kościół oficjalny, to znaczy reprezentowany przez hierarchię? Czy nie powinien włączyć się i zaangażować w codzienną walkę polityczną? Czyż częścią jego misji nie jest tworzenie nowego społeczeństwa i poszukiwanie nowych granic dla ludzkiej wspólnoty?

Kościół powinien wkroczyć do polityki, jeśli jest w stanie zrobić to dobrze. Czy warunek ten może zostać spełniony? Nie dysponujemy dowodami, iż Chrystus i Duch Święty nadał Kościołowi charyzmat zapewniający podejmowanie dobrych decyzji w sprawach dotyczących bieżących zagadnień politycznych. W historii znajdujemy wiele dowodów na to, iż gdy hierarchia próbowała podjąć się tego zadania, niekorzystne w czasie i przestrzeni skutki znacznie przewyższały korzyści. Nie ma w tym nic dziwnego. Kościół po prostu nie ma daru roztropności, zapewniającego trafność decyzji w sprawach polityki. Darem biskupów jest wierne głoszenie posłania Ewangelii, a nie sprawdzanie się w polityce.

Każdy chrześcijanin winien budować swe życie opierając się na Ewangelii i kierować się nią w różnych codziennych sytuacjach. Nie należy mu niczego narzucać, jest bowiem dorosłym człowiekiem. Kościół oficjalny nie powinien angażować się w politykę, gdyż nie został obdarzony łaską strzegącą go przed błędnymi drogami. Jeśli już się angażuje — głos jego nie reprezentuje niczego

poza ludzką mądrością papieża, biskupów czy duchowieństwa, która jest z natury rzeczy większa lub mniejsza. Jednakże ich brak doświadczenia w sprawach polityki może stać się przyczyną katastrofy. Powinniśmy mieć zawsze na względzie, że księża czy biskupi, wypowiadając się na tematy polityczne, wyrażają tylko swoje zdanie. Nie należy widzieć w nich przedstawicieli Kościoła, lecz chrześcijan wygłaszających swój prywatny pogląd, bo- wiem mają do niego prawo.

Konieczna jest jednak pewna uwaga: gdy przesłanie o wierze, nadziei i miłości zostaje zdeptane, gdy prawo i uczciwość są cynicznie ignorowane przez tak zwanych mężów stanu i polityków, wówczas Kościół oficjalny czy hierarchia ma obowiązek wypowiedzieć się głośno i jasno i zrobić wszystko, by położyć kres bezprawiu.

Podsumowując: Kościół oficjalny nie powinien angażować się w zwykłą politykę, gdyż nie otrzymał specjalnej ku temu łaski, lecz tylko ograniczoną ludzką mądrość. Poszczególni chrześcijanie muszą zaś budować ten świat i dążyć ku nowym granicom drogą polityki zawsze, gdy pojawia się tego potrzeba. Kościół oficjalny winien ze swej strony popierać ich prawo wolnego wyboru, lecz nie pouczać, co mają robić. Zawsze jednak, gdy pośród wspólnoty rodzi się niesprawiedliwość, hierarchia Kościoła ma obowiązek głośno się przeciw niej opowiedzieć.

Kler i duchowni wypowiadając się na tematy dotyczące polityki dnia powszedniego nie reprezentują Kościoła. Powinniśmy uwolnić ich od nadludzkiego ciężaru wypowiedzania się w imieniu Kościoła we wszystkich dostępnych kwestiach, dając prawo mówienia za siebie samych.

Czy zauważyłeś, Czytelniku, jak dużym poważaniem słowa te otaczają chrześcijanina i jak niewielką władzę doczesną przypisują Kościołowi zinstytucjonalizowanemu? Być może, jest to sposób na znalezienie w przyszłości właściwej równowagi.

ZOBOWIĄZANIE SIĘ NA CAŁE ŻYCIE

Człowiek starożytności zafascynowany był otaczającym go światem. Lubił obserwować niebo, ocean, góry i zasiedlił je różnorodnymi bóstwami władnymi rządzić jego życiem. Sobą interesował się w niewielkim stopniu. Czasy jego nie były czasami psychologii eksperymentalnej.

Z nadejściem epoki współczesnej człowiek zaczął fascynować się sobą i zaczął zgłębiać sekrety i tajemnice własnej *psyche* i uczuć. Wiodącymi postaciami tego nowego kierunku byli w filozofii Kant, a w psychologii — Freud.

Nie ulega wątpliwości, iż psychologia dokonała ogromnego postępu w badaniu niejasnych źródeł naszych sądów, pragnień, decyzji. Ostatnio wiele uwagi poświęcono badaniom nad zdolnością człowieka do angażowania się. Rozważano zwłaszcza kwestię, czy jest on w stanie zaangażować się na zawsze, zobowiązać się na całe życie.

Wynik przeprowadzonych badań jest zdecydowanie negatywny. Argumenty wspierające ostateczne wnioski zdają się przekonywać.

Według psychologów człowiek ma jedynie ograniczoną zdolność rozumienia siebie i otaczającego go świata. Wszelkie jego decyzje zapadają w obrębie ściśle określonych granic. Nie jest w stanie wykroczyć poza swój własny horyzont i zaangażować się w coś nieznanego. Angażując się zawsze pozostaje w związku z postrzeganym przez siebie polem. W miarę upływu czasu pole to poszerza się, bowiem człowiek nigdy nie przestaje się rozwijać. Wraz z nową wiedzą i inspiracjami otwierają się przed nim nowe światy. W tym ciągłym procesie stale istnieje potrzeba ponownej oceny wszystkich wcześniejszych obietnic.

Proces ten oznacza również większą wolność. Zobowiązanie się na całe życie, niezależnie od etapu rozwoju, byłoby równoznaczne ze skrupowaniem człowieka. Przykuty obietnicą do swej wąskiej przeszłości nie mógłby

swobodnie wnosić swego wkładu w terażniejszość ani budować przyszłości. Nie rozwijałby się.

Podobne wyniki prac psychologicznych dodają wszystkim ducha. Młodzi ludzie nie muszą mierzyć się z nieludzkim ciężarem określania kierunku całego swojego życia na zawsze wiążącą obietnicą. Nie powinni wkraczać w nieznaną przyszłość ze skrępowanymi rękami. Starsi zaś nie muszą czuć zażenowania łamiąc przyrzeczenie, gdy po długim okresie doświadczeń dochodzą do wniosku, że popełnili błąd.

Tak oto twierdzą eksperci z dziedziny psychologii.

Wnioski ich dotyczą w dużym stopniu niektórych postaw właściwych chrześcijanom. Od stuleci chrześcijanie wypowiadają przysięgę małżeńską zawierającą warunek, iż związek trwać będzie, dopóki śmierć nie rozłączy małżonków. Również młodzi klerycy uroczyście i z wielką powagą zobowiązują się na zawsze służyć jedynie Bogu. Czy dalej tak być powinno? Czy nie mamy raczej obowiązku powiedzieć im wszystkim uczciwie, iż w swoim uniesieniu przeceniają własne możliwości?

Mówiąc szczerze — powinniśmy im to powiedzieć. Nie należy odrzucać wniosków nauki, dopóki są one dobrze udokumentowane — a w omawianym przypadku argumenty zdają się nie do podważenia.

Jest jeszcze inny aspekt tego zagadnienia.

Gdy ktoś wypowiada przysięgę małżeńską w obliczu Boga, wówczas wkracza tam trzecia osoba — sam Bóg. Powołuje On dwoje kochających się ludzi do przygody przerastającej siły człowieka. Właśnie ten fakt stanowi chrześcijański wymiar małżeństwa; jest w nim obecny Chrystus. Kiedy młody człowiek poświęca się wyłącznej służbie Bogu we wspólnocie zakonnej, Bóg jest jego towarzyszem w tej przygodzie; powołuje stworzoną przez siebie istotę do życia o szczególnego rodzaju pięknie i głębi.

Ekspersi mają być może słuszność: żaden człowiek nie może podjąć zobowiązania na całe życie. Kiedy natomiast do sprawy włącza się Bóg, będący głównym partnerem, wówczas problem nie dotyczy tego, co człowiek jest w stanie zrobić, lecz raczej — jak daleko sięga moc Boga. A może ona bardzo wiele. Bóg angażuje się w życie kruchej istoty ludzkiej, a nawet wykracza poza nie.

Choć to zadziwiające, Bóg zdaje się kochać przygodę z człowiekiem. Niegdyś zawezwał Abrahama: „Wyjdz z

twojej ziemi rodzinnej i z domu ojca twego do kraju, który ci ukazę” (Rdz 12, 1). Wezwanie to było zaangażowaniem go na całe życie i ostatecznie odnosiło się nie tylko do Abrahama, ale również do jego żony, syna i wszystkich jego potomków. To bezmiar, ogrom miłości sprawiają, iż Bóg angażuje się w trwające całe życie przygody z człowiekiem. Przypadek Abrahama nie jest odosobniony i nietrudno tu wymienić wiele innych imion. Jahwe zawezwał wszystkich proroków Starego Testamentu i nigdy ich nie opuścił. Później zaś Chrystus wybrał dwunastu apostołów i w swej nieograniczonej miłości związał się z nimi na całe życie i poza nim.

Przez stulecia społeczność chrześcijańska wiedziała, iż Bóg dochowuje swoich przyrzeczeń dłużej, niż człowiek może sobie wyobrazić. Zawierzenie Bożej wierności sprawia, że młodzi, kobiety i mężczyźni, oddają się sobie nawzajem na całe życie. Inne młode kobiety i mężczyźni oddają się poprzez śluby zakonne na zawsze wyłącznej służbie Bogu. Tym samym deklarują swoją wiarę w Bożą wierność. I nie są w błędzie. Koleje ich życia potwierdzają, iż pokładana ufność nie jest daremna, choć nie mamy żadnych materiałów mogących to udokumentować. Wewnętrzna siła niewy tłumaczalnym sposobem spływająca na nich każdego dnia nie jest przedmiotem badań historyków.

W istocie rzeczy konkluzje nowoczesnej psychologii pozostają w zgodzie z wyrażanym w przeszłości przez chrześcijan przekonaniem, iż człowiek nie jest dostatecznie silny, by móc podjąć zobowiązanie na całe życie. Jednakże wiara ma wymiar wykraczający poza psychologię. Wiara dać może świadomość, iż Bóg pragnie zobowiązać się wobec człowieka, udzielając mu szczególnego powołania — do małżeństwa czy do życia zakonnego. Ta wizja wiary rodzi nadzieję na Bożą wierność. W perspektywie wiary i nadziei sprzeczne z rozsądkiem przysięgi małżeńskie, zapadające na całe życie, mogą być celebrowane pośród muzyki, śpiewu i tańca. Dla wierzącego mają one sens. Składane na całe życie śluby zakonne mogą odbywać się w tak podniosłym nastroju, na jaki tylko stać lokalną wspólnotę i Kościół macierzysty. Przygoda, dzięki której Abraham opuścił swój kraj i wyruszył ku nowej ziemi, zaczyna się ciągle na nowo.

Gdy odbywają się takie uroczystości, czy to wesele, czy dzień składania ślubów zakonnych, *radujmy się wszy-*

scy i zaprośmy do wspólnego stołu specjalistów w dziedzinie psychologii, choć oni sami nie będą mogli się nam czymś podobnym odwdzięczyć.



WSPÓLNOTA. PISMO I STRUKTURY

Związek pomiędzy wspólnotą chrześcijańską a księgami Nowego Testamentu jest czymś więcej niż interesującą zagadką teologiczną: jest tajemnicą. Od samego początku Pismo stanowiło karmę dla życia wspólnoty: na przestrzeni historii wspólnota powołana była, by interpretować Pismo, wykraczając poza dosłowne znaczenie tekstu. Kościół czerpał z Biblii życie: zaś zawarte w Biblii przesłanie rozwijało się dzięki zgłębianiu go przez Kościół. Zawsze *występowało* i nadal *występuje* wzajemne oddziaływanie Kościoła i Biblii, trudne do prześledzenia, a jeszcze trudniejsze do podporządkowania konkretnym prawom.

Teologowie powinni przede wszystkim starać się rzucić nieco światła na tę tajemniczą zależność, bowiem dwa ważne źródła dostarczające faktów i danych do refleksji to Pismo Święte i żywa wiara wspólnoty. Jednakże zdziwiająco wielu teologów zagłębia się w szczegółowe zagadnienia i rozwiązania, nie czyniąc żadnego wysiłku, by wyjaśnić to zasadnicze zjawisko.

Niektórzy zakładają, iż kiedy w pełni pojmiemy znaczenie tekstów, wszystkie nasze problemy zostaną rozwiązane. W ich ujęciu teksty wczesnych pism apostoelskich są nie tyle początkiem rozwoju, co raczej jego pełnym i ostatecznym zakończeniem, poza które wspólnota nie powinna nigdy wykroczyć. Wizja ta jest nieprawdopodobnie upraszczająca.

Inni teologowie nie przykładają do Pisma Świętego zbyt dużej wagi. Składające się nań księgi są według nich projekcją wiary wczesnych wspólnot chrześcijańskich: zawarte w nich teksty to odważna próba opisu objawienia Bożego i przekazania go otaczającemu światu. Pismo jest nie tyle bliskim nam zbiorem norm wiary, co raczej odległym ich modelem. Jeśli nie przystają do naszej rzeczywistości historycznej, gdzie indziej szukać musimy

przewodnictwa. Jest to następne nader upraszczające podejście, trafiające zwłaszcza do tych, którzy nie dostrzegają, jak bardzo chrześcijaństwo zakorzenione jest w przeszłości.

Prawda leży gdzieś pomiędzy tymi dwoma skrajnymi postawami. Nie wiemy jednak dokładnie, gdzie. Równowaga pomiędzy przeszłością i terażniejszością, pomiędzy natchnionymi księgami pisanymi dawno temu i wspólnotą dnia dzisiejszego, jest tak wielce złożona i delikatna, że jej pełne zrozumienie wymyka się nawet najlepszym teologom. Możemy jednak dokonać oceny dość zbliżonej do prawdy.

Od najdawniejszych czasów znajdujemy we wspólnocie pewne dwutorowe — swobodne tworzenie Pisma, a następnie odbieranie go jako dzieła, które natchnął Duch Święty i które spełnia w społeczności funkcję normy obowiązującej. Zdumiewające to połączenie postaw: społeczność narzuca sobie więzy, które sama stworzyła. Tłumaczy to fakt, iż chrześcijanie siłę transcendentną dostrzegli zarówno w tworzeniu, jak i odbieraniu Pisma. We wspólnocie panowało przekonanie, iż Duch był z tymi, którzy pisali dokumenty; później zaś ten sam Duch dał społeczności zdolność przyjmowania napisanych już tekstów jako normatywnych. W istocie rzeczy Pismo Święte stało się niezmiennym przewodnikiem i normą, według której miały postępować pokolenia chrześcijan, nigdy jej nie odstępując.

Jednakże wierność nie równa się skostnieniu. Społeczność wkrótce zaczęła odnajdywać nowe sposoby odczytania i rozumienia Pisma, zwłaszcza (choć nie odbyło się to bez potężnego wstrząsu) fragmentów dotyczących Ojca, Syna i Ducha Świętego i łączących ich związków oraz tajemnicy Boga, który stał się człowiekiem. Upowszechniły się nowe wyrażenia i nawet zwykły człowiek mówił o trzech osobach w jednym Bogu czy też o dwu naturach w jednym Chrystusie; terminologia ta nie została jednak zaczerpnięta z ksiąg Nowego Testamentu.

W czasie trwania całego tego procesu Pismo Święte zawsze było źródłem inspiracji, przewodnikiem, nigdy zaś przeszkodą w rozwoju. Zrozumiało, iż nie po to istniało, by zdławić Ducha, lecz by stworzyć atmosferę bardziej sprzyjającą jego działaniu. Wspólnocie nie zostały odebrane jej zdolności twórcze. Tekst Pisma to nie był koniec,

terminus, tego procesu. Miało ono raczej tworzyć i podsycać rozwój.

Ciekawe byłoby zastanowić się, w jakim stopniu we wspólnocie chrześcijańskiej ostały się oryginalne zdolności twórcze. Światło i siła Ducha Świętego *oddziałują* w niej przecież nadal. Wprawdzie jeden z prądów Bożego objawienia zakończył się wraz ze śmiercią ostatniego z apostołów; jednakże nadal żywy jest inny nurt, bowiem Duch prowadzi nas nieustannie ku lepszemu widzeniu prawdy. Cóż może dzisiaj stworzyć ta wspólnota, która niegdyś stworzyła Pismo Święte? Nasze możliwości większe są, niż moglibyśmy przypuszczać.

Słuszne jest w szczególności pytanie, czy pod przewodnictwem Ducha Świętego wczesna społeczność chrześcijańska mogła podporządkować się pewnym strukturom, podobnie jak podporządkowała się Pismu. Pośród uczonych dyskutuje się dużo i z ożywieniem nad źródłami duszpasterskiej i kultowej instytucji kapłaństwa, nad rolą biskupów, starszych Kościoła, diakonów. Coraz to na nowo podejmowane są niezmiennie kończące się niepowodzeniem próby znalezienia w Piśmie niepodważalnie jasnej wskazówki co do tego, jak owe instytucje powstały i w jakim stopniu miały pozostać trwałe. Podczas gdy część trzeźwo myślących naukowców uznaje, iż nie dysponujemy dostatecznymi dowodami historycznymi, by problem ten rozstrzygnąć opierając się jedynie na tekstach Pisma, inni, skłaniający się raczej ku hipotezom, przedstawiają nam różnorodne konstrukcje, mające za podstawę wczesne dokumenty. Jednakże tak w pierwszym jak i w drugim przypadku pozostajemy w niepewności.

Owa niepewność przekazana została naszym czasom. Istnieje opinia, że nie znajdujemy jednoznacznego rozwiązania w tekstach biblijnych, nie mamy również jasności widzenia sytuacji dzisiejszej. Wyciąga się zatem wniosek, iż nasze instytucje rozwinęły się na podobieństwo drzew bez korzeni. Nie tylko nie mają trwałych podstaw, lecz również stanowią zagrożenie dla tych, którzy się do nich zbliżają. W praktyce, kredyt zaufania, jakim się cieszy kapłaństwo jako służba, zostaje zniszczony, a wartość sakramentu zakwestionowana. Nie ma przecież w Piśmie Świętym niczego, co by je uzasadniało.

Zagadnienie to jest jednak bardziej złożone. Jeśli założymy (a musimy to zrobić), iż wczesna wspólnota mia-

ła zdolność tworzenia *w Duchu Świętym*, to czyż nie mogła stworzyć nowych struktur, tak jak stworzyła Pismo? Istotne jest zatem nie to, co zawiera tekst Pisma, lecz to, co społeczność *zrobiła*, nawet jeśli nie wszystko zostało zapisane. Stanowisko to nie jest aż tak absurdalne, jak się wydaje. Z jakiego powodu twórcze zdolności wspólnoty ograniczać by się miały do pisania? Dlaczegoż nie miałyby ona stworzyć nowych form życia lub szczególnych dróg dochodzenia do świętości?

Możemy pójść nawet dalej w tych rozważaniach i zapytać, dlaczego dzisiaj wspólnota miałyby być pozbawiona twórczych zdolności? Jeśli możliwe było stworzenie jakichś struktur przez wczesną wspólnotę, dlaczego dzisiejsza nie miałyby stworzyć nowych, czy też zmienić zasadniczo niektórych starych? Zrozumiałe, iż Pismo Święte nie może być obiektem tego typu reform. A instytucje? Odpowiedzieć by można, iż przynajmniej w niektórych przypadkach wspólnota uznała działanie Ducha Świętego i przyjęła powstałe we wczesnym okresie struktury za ostatecznie ustalone — tak jak uznała Pismo za niezmiennie. Ratyfikowanie danej struktury przez sobór (czy sobory) byłoby oznaką przyjęcia takiego właśnie stanu rzeczy. Inaczej wspólnota nie podporządkowałaby się tej instytucji. Tak więc zmiana, nawet zasadnicza, jest możliwa.

Związki między wspólnotą a Pismem są złożone. Pierwszeństwo w tym procesie miała społeczność — ona to stworzyła Pismo. Jednakże Pismo Święte stało się normą przewodnią dla wspólnoty, przyjęło nowy prymat, stały i niezmienny. Nikt nie może obalić Pisma; wspólnota zaś za sprawą żywego Ducha ciągle tworzy nowe i niespodziewane sposoby wnikania w stare teksty.

Czy zdolności twórcze ograniczyły się jedynie do Pisma Świętego, czy rozciągnęły się również na tworzenie struktur? Jeśli tak, to czy w przypadku struktur spotykamy zjawisko podobne do tego, jakie nastąpiło w przypadku Pisma? Czy mamy struktury stałe i niezmiennie? Czasem — szczególnie dotyczy to urzędu prymasa, biskupa czy duszpasterza — dostrzec się daje oznaki świadczące, iż są to twory stałe; sobory ekumeniczne stanowią rękojmię istnienia tych instytucji, świadczą o zawsze istniejącej i rozwijającej się wierze Kościoła. Lecz nawet stałe struktury — nie mniej niż teksty Pisma — mogą być przed-

miotem nowych badań i interpretacji. Pozostaje tu szerokie pole do działania.

Pośród tych wszystkich zastanawiających problemów zarysowuje się pewna silna i jasna zasada praktyczna: upraszczające rozwiązania złożonych zagadnień w ogóle nie są rozwiązaniami, niezależnie od tego, z jak wielką powagą są przedstawiane i z jaką mocą podkreślają swoje związki z tekstami biblijnymi lub wskazują na ich brak. Głęboko tkwiące kwestie podstawowe ciągle czekają na wyjaśnienie. Poznajemy tajemnice Królestwa, lecz stoimy zaledwie u progu wiedzy. Pomimo to dobrze mieć świadomość, iż Duch Święty cały czas spaja wspólnotę i trzyma pieczę nad jej rozwojem.

KOŚCIÓŁ ROKU PAŃSKIEGO 2001

Ludzkość posuwa się naprzód wielkimi krokami, wręcz samą. Z pomocą nauki i rozumu nie tylko budujemy wokół siebie nowy świat, lecz również poszerzamy nasze horyzonty. Dzięki rakietom otworzyła się przed nami mała szczelina, przez którą widzimy ogrom kosmosu. Badając głębsze warstwy ziemi, odkrywamy przeszłość. Pozostaje jednakże wyzwanie, któremu nie potrafimy stawić czoła — przyszłość. Co z nią począć? Wszak nie możemy pogodzić się z porażką. Chcąc pokazać naszą wiedzę, snujemy przewidywania oparte na różnych kalkulacjach, hołubimy nadzieje wyrastające z naszych pragnień. Cokolwiek by się stało, nie chcemy, by przyszłość się nam wymknęła.

Skoro nie wiemy, co nas czeka, pofolgujmy fantazji — nieposkromiona znajduje wyraz w książkach, artykułach, referatach. Chrześcijanie również włączają się w ten wielki ruch poszukiwań. Często zadają sobie pytanie, co przyniesie Kościołowi przyszłość. Gdybyśmy tylko mieli pewność, że Kościół przetrwa druzgocący napór nowych czasów, poczulibyśmy się bezpieczniej i moglibyśmy *prawdziwie* i z *ufnością* poświęcić się służbie na rzecz chrześcijańskiej wspólnoty. Gdyby zaś rozsądna ocena wskazywała na to, że Kościół nie przetrwa, moglibyśmy go w porę opuścić.

Naturalnie, wszelkie przewidywania na temat przyszłości są mile widziane. W naturze ludzkiej leży, by opierać naszą postugę na poczuciu bezpieczeństwa w przyszłości.

Pełni powagi teologowie, skupieni nad swoimi teoriami, oraz socjologowie wymachujący ankietami przychodzą nam w sukurs, zalewając nas potokiem faktów i opinii, które sugerują przyszły rozwój wypadków. Szczytne to starania, ale podstawę ich stanowi to, co możliwe do wyobrażenia i przewidzenia. Nie można jednakże mówić o

przyszłości Kościoła bez brania pod uwagę tego, czego ani wyobrazić sobie, ani przewidzieć nie sposób: dzieła Ducha Bożego, obecnego pośród wybranego ludu, czyli w całej rodzinie ludzkiej. Jego czuła troska i pełna współczucia miłość skierowane są do *wszystkich* — bez względu na narodowość, wyznanie, rasę, płeć itd. Wspólnota chrześcijan stanowi jedno z narzędzi do objawiania i głoszenia pośród całego stworzenia Słowa Bożego i Bożej miłości. Możemy mniej więcej przewidzieć i przepowiedzieć, co człowiek będzie robił między chwilą obecną a rokiem Pańskim 2001. Nie mamy jednak wyobrażenia o tym, co w owym czasie zdoła Duch.

To prawda, że chrześcijaństwo jest religią skierowaną ku przyszłości. Wspólnota oczekuje nadejścia Chrystusa. Modlitwa *Maranatha* — Przyjdź, Panie Jezu! — rozpoczęła się dawno temu i od wieków jest powtarzana nieustannie. A jednak, co dziwne, Pan wyjawiał swemu ludowi niewiele z tego, co by dotyczyło najbliższej przyszłości. Wystarczyły pewne podstawowe fakty: Kościół będzie trwał, Słowo Boże nie zaginie, ogień Ducha nie wygaśnie. Oprócz tych zasadniczych obietnic Pan wszechczasów nie rzekł już prawie nic więcej o przyszłości.

Zgodnie z posłaniem Jezusa najlepszym sposobem budowania Kościoła przyszłości jest skupienie się na zadaniach chwili obecnej. Jesteśmy pielgrzymami, którzy wiedzą, skąd przychodzą, wiedzą, być może, gdzie się w danym momencie znajdują, ale mają niewielkie pojęcie o ostatecznym celu pielgrzymki czy też o jej dokładnej trasie.

Nie do nas należy wiedzieć, jaki będzie Kościół roku Pańskiego 2001. Możemy z przymrużeniem oka potraktować przewidywania teologów i kalkulacje socjologów, skoro zdajemy sobie sprawę, jak bardzo ograniczona musi być ich wiedza. W głębi serca zaś możemy przyjąć poważniejsze wyzwanie: wyruszyć w naszą pielgrzymkę w nieznaną, wędrując od miejsca do miejsca, od radości do smutku, od łez do uśmiechu. Nasze poczucie bezpieczeństwa nie wyrasta ze znajomości przyszłości, ale z oparcia, jakie odnajdujemy w chwili teraźniejszej. Przyszłość jest zakryta, ale czy to powód do zmartwienia? Zadania teraźniejszości są ogromne.

LITURGIA ZNAKÓW

Sobór Watykański II dał początek poszukiwaniom liturgii znaczącej. Jeszcze kilka lat wstecz ruch ten jawił się jak mały strumyczek, wartki, czysty i rześki, lecz ograniczony wąskimi brzegami. Dzisiaj wygląda jak potężna rzeka, przecinająca ląd i ożywiająca to, co niegdyś było pustynią. Bóg nie zapomniał o swym ludzie; mamy nowe modlitwy, nowe pieśni, nowe święta: *Alleluja!* Wprawdzie słyhać pośród naszej wspólnoty głosy brzmiące fałszywie, ale ogólnie rzecz biorąc lud Boży odpowiada na nowe inicjatywy coraz głośniejszym *amen*. Nasze kościoły, domy, a nawet pola i lasy, doliny i góry przepelnia radość pielgrzymów.

Chociaż jesteśmy pielgrzymami, nie powinniśmy być w ciągłym marszu. Nie powinniśmy również nieustannie świętować. Zbyt częste uroczystości mogą stracić swój smak. Nadmiar pieśni może zabić radość. Dobry pielgrzym wie, że jest czas na wędrówkę i czas na odpoczynek. Jest czas na śpiew i czas na wsłuchanie się w wewnętrzny głos.

W spokojnej chwili zastanówmy się, czym naprawdę jest *liturgia znacząca*.

Liturgię definiuje się rozmaicie. Żadna z tych definicji nie jest pełna, lecz wiele na tyle słusznych, by poszerzyć rozumienie tego terminu. Wybijają się w nich wyraźnie jedna cecha — liturgia zawiera widzialne znaki niewidzialnego przymierza Boga z ludem. Znaki nie są cudami. Są one zwyczajnymi przedmiotami i czynnościami w nadzwyczajnym kontekście religijnego obrzędu. Pośród zgromadzenia wiernych proste ludzkie słowa i gesty, akt mycia i namaszczenia, składane i przyjmowane obietnice, prosty posiłek z chleba i wina stają się wydarzeniami zbawczymi o ponadczasowym znaczeniu. Pod powłoką rzeczy materialnych moc Boża działa dla naszego zbawienia

— to zresztą myśl często spotykana we wcześniejszych wiekach chrześcijaństwa.

Znacząca liturgia jest zatem pełnią znaków. Znaki mają znaczenie i przekazują je. Czujemy, że aby uzyskać taką pełnię, chrzest powinien być prawdziwym *obmyciem*: w wodzie ma zostać pogrzebany stary człowiek, by mógł narodzić się z niej człowiek nowy. Jest to symbolika wielce ceniona przez św. Pawła. Do takiego właśnie celu były przystosowane stare chrzcielnice w Rzymie. Poza tym chleb konsekrowany podczas Eucharystii nie może być jakimś cienkim opłatkiem, którego nie sposób nazwać pożywieniem, lecz *chlebem*. Z winem przynajmniej nie ma problemu. Nie udało nam się zniszczyć jego naturalnej postaci. Ale posiłek powinien znów stać się posiłkiem, a cała wspólnota uczestniczyć przy stole Pańskim. Również dla innych sakramentów i obrzędów potrzebujemy mocnych i jasnych znaków, które pokrzepiałyby nasz umysł i serce.

Doświadczenie potwierdziło, że tam, gdzie została wprowadzona liturgia znacząca, wspólnota nabiera nowych sił.

Jednakże tak jest w przypadku wszystkich ruchów i tutaj nadchodzi moment rozczarowania. Słysząc już głosy, że liturgia nie wystarcza. Z pewnością nie daje nam ona eschatologicznego Królestwa i nie spełnia jego wszystkich obietnic. Ponadto inicjatywy w sprawach liturgii wydają się ograniczone, bowiem w wielu przypadkach działalność twórcza dopełniła się. Jednakże pragnienie znaczącej liturgii nie zostało jeszcze w pełni zaspokojone!

Aby przybliżyć dzisiaj ten bardzo rzeczywisty dylemat, przypomnijmy, jaką funkcję mają spełniać znaki w liturgii. Są przede wszystkim po to, by uzmysłwić nam obecność tajemnicy. Po to, by poprowadzić nas ku niewysłowionej obecności Boga. Ich głównym celem jest *nie* zatrzymywać na sobie zbyt długo naszej uwagi: jesteśmy w drodze ku *osobie* i żadna rzecz czy ceremonia, choćby najbardziej uświęcona, nie może zaspokoić naszych najgłębszych pragnień. Znaczący znak to nie taki, który daje pełne zrozumienie — naszym celem jest zjednoczenie z osobą. Musimy wyjść poza wszelkie znaki.

Zatem liturgia znacząca to nie taka, która nuży nieskończonością nowych form, trudnych do przyjęcia i przyswojenia przez umysł i serce. Nie taka, która odurza rozko-

szą, hamując pielgrzymą w jego dążeniu do osoby. Liturgia znacząca to raczej ta składająca się z zachwycająco mądrych znaków, które przekazują sens tajemnicy.

Uczyć ludzi lepszego uczestnictwa w liturgii to rozbudzić w nich dzięki znakom, tak starym jak i nowym, doświadczenie obecności Boga. Liczba ludzkich słów i gestów, znaków i symboli jest ograniczona. Nadchodzi moment, i często bardzo szybko, kiedy wypełniają one swoje zadanie — stawiają pielgrzymą wobec tajemnicy.

Nasze rozważania dotyczyły oczywiście zaledwie jednego aspektu liturgii. Znaki są ważne — bez nich nie moglibyśmy podążać ku naszemu przeznaczeniu. Najbardziej znaczące znaki to te, które nas najlepiej wiodą poza wszystkie znaki, które wprowadzają nas w tajemnicę obecności naszego Boga pośród jego ludu. Obecności, której żadne znaki nie są w stanie wyrazić.

PRACA EKUMENICZNA

Trudno znaleźć odpowiednią analogię opisu ludzi, pracujących na rzecz jedności Kościołów chrześcijańskich. Czasami nazywa się ich budowniczymi mostów. Obraz ten ma w sobie nieco prawdy. Próbują bowiem stworzyć więź, ogniwo pomiędzy tymi, którzy się rozdzielili. Ale dążą do większej jedności; takiej, jakiej żaden most nie może zapewnić. Przecież obydwie brzegi i tak pozostają od siebie znacznie oddalone. Istnieje tylko łączące je wąskie przejście — most. My potrzebujemy silniejszego zjednoczenia niż to, które może dać spajający dwa odległe brzegi most. Czasami ludzie ci nazywani są ambasadorami pokoju, ponieważ ich zadaniem jest podtrzymywanie otwartego dialogu między rozłączonymi braćmi. Jednakże ambasadorzy nie jednoczą odrębnych narodów. Podkreślają raczej ich podział. W tych ożywionych rozmowach chcemy czegoś więcej niż odrębnych królestw. Chcemy jedności, która jest prawdziwa, żywa, dogłębna, a jednocześnie nie zaciera różnic. W rzeczywistości bowiem to nie lądy i narody są podzielone — to chrześcijaństwo jest rozbite. I należy je scalić.

Zespawanie dwóch kawałków metalu, tak by stały się one jednym, jest trudną sztuką. Dokonuje się tego za pomocą ognia. Właściwy opis człowieka, który pracuje na rzecz jedności Kościołów chrześcijańskich, przedstawia go w trakcie procesu spawania. Odczuwa on w swym ciele i kościach palący ogień. W takiej sytuacji nie powinien znaleźć się nikt, kto nie jest pełen miłości rozchodzącej się we wszystkich kierunkach, kto nie jest źródłem miłości, bijącym ku stronom, które chce zjednoczyć. Dzięki niemu rozbite kawałki powinny stać się jednym i odzyskać swoją pierwotną siłę.

Praca ta ma swe wymogi; dla jej przeprowadzenia niezbędna jest głęboka przemiana umysłu i serca. Dlatego też dobrym ekumenistą trudno stać się z dnia na dzień.

Szczęśliwie, mamy ekumenistów wywodzących się z obu stron, którzy gotowi są do poświęceń i robią wiele, by położyć kres rozdarciu. Ale jak wszędzie, tak i tutaj pojawiają się fałszywi prorocy. Znak potwierdzający otrzymanie łask potrzebnych do pracy na rzecz tego zjednoczenia to miłość emanująca we wszystkich kierunkach: ku katolikom, luteranom, kalwinom, wobec wszystkich jednaka, ponieważ miłość nie wyrasta z konkretnego wyznania czy przynależności do danej wspólnoty. Miłość jest prawdziwa, gdyż istnieje jej bogate źródło, a nie dlatego, że nasz selektywny gust wybrał taki a nie inny przedmiot. Jeśli miłość człowieka biegnie w jednym tylko kierunku, nie jest on budowniczym jedności. Być prawdziwym ekumenistą to rozciągać granice miłości i zrozumienia; to, co wcześniej obejmowało jedną chrześcijańską wspólnotę, teraz odnosi się do nich wszystkich. Tak katolicy jak i protestanci mogą przechodzić zewnętrzne przemiany bez odmiany serca. Potrafią zmienić przedmiot swej lojalności, nie poszerzając zasięgu miłosierdzia. Katolicy, którzy nagle zaczynają kochać wszystko, co protestanckie, i nie mają współczucia dla ran i cierpień własnego Kościoła, nie są ekumenistami. Ich miłość bliźniego pozostaje tak ograniczona jak przedtem. Karykaturalne przedstawianie papieża czy biskupów świadczy o równie niewielkiej miłości, co ośmieszanie głowy czy starszych wspólnoty protestanckiej. To samo odnosiłoby się do protestanta, gdyby ekumenizm oznaczał dla niego przyjazny stosunek do katolików i jednoczesne zaniedbywanie swej własnej wspólnoty. Nic nie zastąpi prawdziwej miłości. Widać wyraźnie, kiedy jej brak.

Nie można być ekumenistą nienawidząc swej własnej rodziny. Pracować na rzecz jedności Kościołów to znaczy być bijącym we wszystkich kierunkach źródłem miłości i współczucia.

MODLITWA I TANIEC

Zbyt silne było zawsze nasze przekonanie, że modlitwa jest króciutką mową, jaką człowiek kieruje do Boga. Następnie ją zanalizowaliśmy i sklasyfikowaliśmy. Mowa taka mogła być *prośbą* o coś, czego potrzebujemy, *dziękczynieniem* za otrzymane dobra. Mogła być ponadto modlitwą *pochwalną*, oddającą po prostu cześć Bogu. Ale musiała być mową kierowaną od człowieka do Boga.

Nic więc dziwnego, że tak wielu dobrych chrześcijan czuje się zmęczonych modlitwą. W końcu muszą przecież wysłuchiwać swych własnych, nieporadnych słów, nawet jeśli są one skierowane do Boga. Pragnienia ich serc wykraczają poza to, co słowa mogą wyrazić. Wznoszą się ponad ludzką mowę ku temu, czego nie da się wypowiedzieć. Święty Augustyn miał rację — zostaliśmy stworzeni dla Boga i nasze serce pozostaje niespokojne, dopóki Go nie odnajdzie.

Gdyby tylko można było odrzucić wszelkie fałszywe definicje i przesady dotyczące modlitwy, sytuacja natychmiast uległaby poprawie — byłoby więcej modlących się chrześcijan. To nie człowiek mówi do Boga, lecz Bóg do człowieka. Wszystko zaczyna się z pełnej łaski inicjatywy Boga. My możemy jedynie odpowiadać.

Tu właśnie tkwi klucz do dobrej modlitwy — jest to umiejętność słuchania Boga. Aby się z nami porozumieć, Bóg nie używa nieporadnych słówek. Jesteśmy zanurzeni w Nim bardziej niż ryba w oceanie czy ptak w powietrzu. Tkwi On w naszej najskrytszej istocie, w głębinach naszych serc, do których sami nie jesteśmy w stanie dotrzeć. Zrozumienie tej bliskości Boga jest niezbędne do postrzeżenia Jego posłania. Jego obecność w nas przypomina łagodne światło, które daje zrozumienie. Jego obecność jest źródłem mocy, która daje siłę. Bóg ogarnia całą osobę. Przyciąga nasz umysł do prawdy. Rozbudza

wrażliwość na piękno. Napęlnia wewnętrzną siłą, potrzebną do dźwigania ciężaru dnia codziennego.

Modlić się to odpowiadać Bogu umysłem i sercem, ciałem i duszą, naturą i duchem, całą naszą osobą. Najlepiej odzwierciedla takie życie-odpowiedź obraz mężczyzny i kobiety tańczących razem w doskonałej harmonii. Mężczyzna prowadzi kobietę przez najbardziej skomplikowane figury, a ona odpowiada tak doskonale, że postronny obserwator nie jest w stanie zauważyć, od kogo pochodzi impuls. Ale to do mężczyzny należy inicjatywa, którą przekazuje na wiele subtelnych sposobów.

Przesłania Boże również przekazywane są w sposób subtelny i delikatny; nie można ich ubrać w słowa. Mają charakter tajemnicy. Taka również powinna być reakcja człowieka: subtelna i delikatna, angażująca całą jego osobę.

Istotnie, gdy przyglądamy się całości związków między Bogiem i człowiekiem, rozumiemy, dlaczego żadne słowa nie są w stanie im sprostać. Słowa wyrażają maleńką i tylko maleńką część wielkiej przyjaźni. I nie wystarcza jedynie powtarzać: „Panie! Panie!”; musimy odpowiadać działaniem całej naszej osoby. Ci, co nie ruszają z Panem w taniec, który On prowadzi na tym świecie, nie będą mieli udziału w Jego Królestwie.

Wyłaniają się tutaj pewne wnioski, które pomogą nam dobrze się modlić.

Po pierwsze, wypowiedziane przez nas słowa mają jedynie wartość względną, chociaż nie są zbyteczne. Mają moc takiego pobudzania naszej ludzkiej natury, byśmy spostrzegli inicjatywę Boga i dobrze na nią odpowiedzieli. Podobny efekt można osiągnąć przez właściwe czytanie Pisma Świętego i wnikliwe rozważanie wielkich wydarzeń naszego zbawienia. Rozbudzają w nas wrażliwość, pomagając wychwycić subtelny głos Ducha i nań odpowiedzieć. Jest to przygotowanie do czegoś doskonałego.

Okazuje się *wówczas*, że człowiek potrafi się dobrze modlić bez słów, otrzymując po prostu światło i siłę, kiedy jego umysł i serce odpoczywają. Oczywiście, wymaga to gotowości — uważnej postawy, wolności słuchania. Bardzo często Bóg przekazuje swoją wyrozumiałość i głęboką miłość bez słów. A kiedy tak czyni, przyjmujemy je bez większego wysiłku — czy też prawie żadnego wysiłku. Nie znajdujemy się wtedy w jakimś nadzwyczajnym

stanie. W końcu nikt z nas nie może udzielić sobie samemu łaski, możemy ją jedynie otrzymywać. Taka pełna gotowości modlitwa przypomina siedzenie przy kominku i chłonięcie jego ciepła. Ogień płonie, nasze ciało i dusza wchłaniają ciepło, nawet gdy o tym nie myślimy czy tego nie chcemy. Skutki da się zauważyć, gdy wyjdziemy na chłód. Pokrzepiające ciepło pozostaje w naszym ciele na bardzo długo.

Gdy Bóg szczerze nas obdarza, nie powinniśmy się obawiać, że o niczym nie myślimy i niczym się nie zajmujemy. Wprawdzie my nie działamy, ale działa Duch Święty. Dobrze się modlić może oznaczać wchłanianie wewnętrznej siły.

W końcu, jak wiadomo, dobra modlitwa nie powstrzymuje nikogo od działania. Jest ona jego źródłem. Gdy robimy sobie przerwę na posiłek, nie znaczy, że zaniebdujemy pracę — raczej gromadzimy wtedy nową energię. Nedorzecznnością jest uważać, że bez spokojnego zebrania myśli w Bogu chrześcijanin może osiągnąć głębie życia i zgromadzić energię do działania. Takie skupienie oczywiście wymaga czasu. Dobre i pożywne posiłki trwają długo; sportowcom nie wystarczają przekąski. Za takim skupieniem myśli zawsze podążają czyny, ponieważ człowiek musi odpowiedzieć Bogu całą swoją osobą, a twórcze działanie stanowi istotną część jego życia. Bóg ze swej strony bardzo troszczy się o świat — przejawilo się to w działaniu: oddał swego Syna. Zatem będzie inspirował tych, którzy Go słuchają, do działania polegającego na dawaniu.

Modlitwa słowna stanowi w rzeczywistości drobną cząstkę życia chrześcijanina. Jest ona zaledwie początkiem odpowiedzi, która musi rozszerzyć się na całą naszą istotę. Odpowiedź powinna dotyczyć wszystkiego. W tańcu, którego piękno przerasta nasze pragnienia i wyobrażenia, prowadzącym partnerem jest Bóg. Musimy odpowiedzieć Mu słowem, spojrzeniem, gestem — całym ciałem. Analogia ta pasuje dobrze do wszystkich religii — człowiek zawsze włączał święty taniec do swego kultu. We współczesnej liturgii odpowiedź angażująca całe nasze ciało sprowadza się do pochylecia głowy i przyklęknięcia. W naszych sanktuariach jest miejsce i potrzeba gestów lepiej symbolizujących fakt, że to Bóg jest partnerem prowadzącym nas w tańcu, który sam zapoczątkował.

WIERZĘ W BOŻY, NIEŚWIĘTY KOŚCIÓŁ

Cóż za dziwaczny tytuł! Jak można wierzyć w nieświęty Kościół, gdy znakiem obecności Boga jest właśnie świętość, a Kościół powinien być nią szczególnie naznaczony. Poza tym takie wyznanie wiary w nieświęty Kościół występuje przeciw kanonom Trzeciego Soboru w Konstantynopolu (A. D. 681), który zabronił formułowania nowego credo. Jednakże każde pokolenie chrześcijan powinno wyznawać wiarę na swój sposób, głosząc stałe doktryny chrześcijańskie, jednocześnie podkreślając prawdy dla niego samego najważniejsze.

Dzisiaj trzeba, byśmy wyznawali naszą wiarę w Boży nieświęty Kościół. Przyjąc ten brak świętości wśród nas to coś o wiele trudniejszego niż wierzyć w istnienie nieskazitelnej, błyszczącej cnotą i dobrocią wspólnoty. Na tym właśnie zasadza się problem naszych czasów.

Nie ma innego Kościoła niż Kościół nieświęty. To prawda, że Kościół jest bogato obdarowany przez Boga i jest w nim wiele świętości. Duch Święty wspiera lud Boży bardziej niż niegdyś Żydów uciekających z Egiptu i wędrujących po pustyni. To prawda, że dzieci Boga obdarzone są nieśmiertelnością, a ich wspólnota ma trwać wiecznie. Jednocześnie ciż sami ludzie tworzą wspólnotę grzeszników. Są wprawdzie uświęceni, lecz niosą swe dary w bardzo kruchych naczyniach; są uzdrowieni, lecz nie kroczą w chwale. W sercach mają radość zbawienia, ale te same serca nadal pozostają ludzkie wraz z ciężarem ograniczeń, braków, ciasnoty i grzechu.

Wszyscy potrzebujemy łaski i zrozumienia.

Ta cecha grzeszności rozciąga się na cały Kościół. Nie omija nikogo. Dotyka starych i młodych, kobiety i mężczyzn; nie uwalnia od niej dostojność, ranga ani wykształcenie. Nie zanika, kiedy członek Kościoła zostaje wyświęcony, by nieść swym braciom sakramenty i Słowo; biskupi i księża również pozostają grzesznikami.

Z drugiej jednak strony dla chrześcijanina każdy grzech jest szczęśliwym zdarzeniem, *felix culpa* — bowiem grzech sprowadza na człowieka dobroć Boga. Możemy cieszyć się Jego łaską i właśnie dlatego, że wszyscy w Kościele jesteśmy grzesznikami, czujemy się w nim naprawdę dobrze. Czujemy, że do niego należymy, że możemy się w nim zachowywać swobodnie. Jakaż istota ludzka nie byłaby zażenowana czy skrępowana pośród wspólnoty świętych? No i, rzecz jasna, nasi biskupi i księża dzielą z nami ten los.

Łaska Boga przebija się przez skorupę człowieczeństwa. Za sprawą Ducha Świętego trwa w Kościele żywe Słowo Boże. To Duch prowadzi niepewnych pielgrzymów do Królestwa. Kiedy jesteśmy w drodze, ograniczenia naszej ludzkiej i grzesznej natury dają się zauważyć na wszystkich poziomach. I inaczej być nie może. Nasz Kościół, za co Bogu niech będą dzięki, jest Kościołem człowieczym. Ludzie, którzy piastują oficjalne stanowiska, są bardziej widoczni i tym samym łatwiej zauważamy ich ograniczenia, nawet jeśli mają ich mniej. Spoczywa na nich ogromna odpowiedzialność.

Nasza odpowiedź na tak bardzo człowieczy Kościół może być jedynie odpowiedzią miłości — miłości, która nauczyła się dawać i nie pragnie brać. Kiedy człowiek podróżujący między Jerozolimą i Jerychem został złupiony i poraniony, tak że z jego ran sączyła się krew, kapłan i lewita minęli go. Być może, byli oni przejęci majestatem Prawa i nie zauważyli pobitego. Samarytanin, człowiek niskiej kondycji, zrozumiał sytuację i okazał swą miłość w czynach. Kiedy Kościół pielgrzymujący obnaża swe rany i wykrwawiając się traci siły — czy to z powodu dawniejszych zaniedbań, obecnych ograniczeń czy też ze względu na niemożność wejrzenia w przyszłość — z ewangelicznej miłości wyrasta jedno tylko zalecenie: pomagać i uzdrawiać. Przechodzenie mimo, przy jednoczesnym rozprawianiu o świętości, jaka powinna panować we wspólnocie, nie jest znakiem miłości.

Wiara w Boży Kościół jako świętą, nieskazitelną, mądrą i bezgrzeszną wspólnotę jest równoważna z zatrąceniem się w wyidealizowanym marzeniu i odrzuceniem ludzkiej natury naszego Boga, którego raduje towarzystwo nas — grzeszników.

Pewnego dnia (Biblia nazywa go Dniem Pańskim) świętość zajmie miejsce wszelkiej grzeszności i objawi się

chwała dzieci Bożych. Tymczasem możemy poczuć się swobodniej i spokojnie zadowolić się pozycją etatowych, pełnoprawnych członków wspólnoty grzeszników, w której każdy pomaga dźwigać ciężar innemu.

W KWESTII SUMIENIA

O naszych czasach nierzadko mówi się jako o epoce techniki i zatrąty człowieczeństwa. Trudno o coś bardziej dalekiego od prawdy. Postęp techniki jest rzeczą oczywistą, ale równolegle *następuje* rozwój człowieczeństwa. Komputery rzeczywiście uwalniają nasze umysły od wysiłku, ale człowiek nie stał się jeszcze niewolnikiem maszyny. Jednym ze znaków jego rosnącej wolności jest szacunek dla osoby ludzkiej występujący z niespotykaną w dotychczasowej historii mocą. Szczególnie zaś domagamy się uznania prawa każdego człowieka do wolności sumienia.

Tendencja ta jest tak silna, że nawet państwa totalitarne, by wykazać się dobrą wolą na arenie międzynarodowej, czują się zobowiązane włączyć do swej konstytucji prawo każdego obywatela do wolności sumienia. Jest to podejście cyniczne, gdyż za pobożną teorią nie podąża uczciwa praktyka; mimo to nawet tam błyska promyk nadziei. Wolność *została* potwierdzona konstytucyjnie — prawdziwa i dobra to wizja. Za jakiś czas obywatele zaczną domagać się wprowadzenia jej w życie. Człowiek urodził się wolny i wolnym pozostanie. Starożytni Rzymianie wiedzieli, że níc nie przewycięży natury. *Choćbyś naturę wypędział widłami i tak zawsze powróci*, powtarzali za Horacym. Na całym świecie zapanowała więc tendencja, choć miejscami jeszcze zbyt słaba, by oddać sprawiedliwość naszemu człowieczeństwu.

Ruch ten wspierany jest przez wielu psychologów, filozofów i teologów, którzy — nareszcie zgodni — podkreślają prawo człowieka do wolności sumienia. Wszyscy oni stwierdzają, że każda osoba musi być ze sobą w zgodzie. W przeciwnym wypadku w życie wkrada się niebezpieczne rozdarcie. Nikogo nie wolno zmuszać do działania wbrew jego moralnemu osądowi i nikomu nie

wolno uniemożliwiać działania zgodnego z tym osądem — chyba że godziłoby ono w dobro wspólnoty.

Psycholog opiera swoją argumentację na potrzebie *jedności* osoby, innymi słowy — potrzebie harmonii między wizją i działaniem. Filozof mówi o godności osoby ludzkiej i jej niezbywalnym prawie do bycia sobą. Teolog doda szczególnej mocy wnioskowi swego kolegi podkreślając zasadniczą rolę sumienia, według którego Bóg sądzi człowieka.

W erze, w której osiąga się tak pozytywny stopień rozwoju, nie ma powodu do obaw. Postęp w technice nie zniszczył człowieczeństwa.

Jednakże przy całym tym podkreślaniu znaczenia sumienia pozostaje zasadnicze pytanie. Czymże *jest* sumienie? Wszyscy o nim mówią, ale niewielu podejmuje się je zdefiniować. Wszyscy intuicyjnie je czują — nikt go jednak naprawdę nie pojmuje.

Rzecz jasna — nasz wkład w zagadnienie również nie będzie zbyt duży. Powiemy po prostu o absolutnych i względnych aspektach współwystępujących w każdym sądzie sumienia.

Zacznijmy od ustalenia, czym sumienie nie jest. Negacja może doprowadzić nas do afirmacji. Sumienie nie jest ślepą i bezmyślną siłą. Gdyby nią było, zniszczyłoby godność człowieka. Podporządkowanie osoby kategorycznemu imperatywowi, za którym nie kryje się żaden sens ani przyczyna, równałoby się zaprzeczeniu jej racjonalności, to znaczy jej człowieczeństwa. Niewolnicze posłuszeństwo ślepej sile niszczy wolność, tym bardziej gdy siła ta pochodzi z wewnątrz. Odbiera nam prawo krytycznego oceniania i sądzenia nas samych oraz naszych działań.

Sumienie nie jest również zbiorem statycznych reguł wyrytych w naszych umysłach jak Przykazania w kamieniu. Sumienie stanowi wymiar żyjącego, rosnącego, rozwijającego się człowieka. W człowieku wszystko jest w ciągłym ruchu; jego umysł i serce ulegają nieustannym przemianom, z dnia na dzień wzrastając w mądrości i łasce. Człowiek o statycznym sumieniu jest martwy, nie ma sumienia.

Sumienie nie jest też czynnikiem niezależnym od zewnętrznego świata i od wspólnoty, która otacza człowieka. Stanowi ono raczej siłę zmuszającą do jednoczenia się ze światem zewnętrznym i wspólnotą. Gdyby sumienie sta-

nowiło czynnik niezależny, skupiony na dobru jednego człowieka, produkowałoby potwory, niezdolne do życia i poruszania się pośród nas.

Jeśli sumienie nie jest ślełą siłą, zespołem statycznych reguł czy też władcą niezależnym od świata zewnętrznego, czymże zatem jest?

Stosując regułę przeciwieństw powinniśmy stwierdzić, że sumienie jest umiejętnością formułowania rozumnych sądów, zdolnością, która rozrasta się i rozwija, by w końcu doprowadzić nas do harmonijnego związania się ze światem i naszymi bliźnimi.

Sumienie związane jest z rozumnymi sądami, dotyczącymi naszych praktycznych postaw i działań. W człowieku istnieje podstawowa dążność, by iść naprzód, by realizować samego siebie i odszukać swe własne miejsce we wszechświecie. Na każdym etapie tego rozwoju człowiek musi formułować sądy i podejmować decyzje odnośnie do kolejnego kroku. Dla ich trafności duże znaczenie ma inteligencja i zmysł krytyczny. Gdy człowiek nie ma do wyboru nic lepszego niż błędny czy, co gorsza, głupi sąd, musi się nim kierować, bo cóż mu pozostaje? Co więcej, należy mu się szacunek; w końcu każdy ma prawo do popełniania błędów, oczywiście w granicach rozsądku. Należy dać swobodę ludziom uczciwym, choćby formułowali sądy niewłaściwe. Sam Bóg szanuje nasze ograniczenia; ludzie tacy z pewnością stanowią część mieszkańców nieba.

Sumienie jest ciągle rosnącą i rozwijającą się umiejętnością. Jest ono częścią dynamicznej natury człowieka. Rozwija się od dziecięcej prostoty do mądrości popartej wiekiem i doświadczeniem. Nigdy nie osiąga doskonałości, ponieważ zawsze pozostaje coś jeszcze do przyswojenia i zrozumienia. Nigdy nie ustaje w swym dążeniu ku lepszej decyzji. Z drugiej jednak strony ten aktywny charakter nie wyklucza stałości, zatem nie narusza podstawowych inspiracji i wizji, mimo że poszerza się ich zasięg. Przecież tożsamość człowieka nie ulega zmianie, gdy bada on to, co nieznanne, lub wzbogaca się dzięki nowym odkryciom. Kiedy sumienie przestaje się rozwijać, obumiera najlepsza część człowieka. Statystyczne sumienie jest niewiele lepsze od komputera, który bez przerwy wyrzuca te same odpowiedzi. Ale, ale — w tym właśnie kryje się sekret; należy szanować takie komputerowe sumienie, ponieważ człowiek jest godny

szacunku, choćby był karłem. Oczywiście nie trzeba wyśpiewywać hymnów pochwalnych na rzecz karłowatości; jest to schorzenie wymagające pomocy i leczenia.

Sumienie powinno prowadzić osobę do harmonii z zewnętrznym światem. Harmonia taka jest możliwa dzięki złożonej naturze sumienia. Jego sądy krystalizują się w wyniku subtelnej gry wewnętrznych dążeń i wrażeń napływających z zewnątrz. Razem prowadzą do wiedzy, zrozumienia i krytycznie uzasadnionych decyzji. Dzięki dobrze sformułowanym sądom praktycznym człowiek odnajduje swoje miejsce we wszechświecie.

Kiedy rodzi się mała istota ludzka, jej świadomość skupia się na fizycznym komforcie; to prymitywny przejaw ludzkiego życia. Wraz z rozbudzeniem się inteligencji człowiek zaczyna rozumieć potrzebę jednoczenia się z otaczającym światem zewnętrznym. Stopniowo poznaje moralny imperatyw zasad, zaleceń i nakazów. Uświadamia sobie, że bez ich akceptacji nie może zostać włączony do wspólnoty ludzkiej, czyli praktycznie — do rodziny.

W każdym człowieku działa tajemnicza siła, siła która każe mu wykroczyć poza siebie samego. Uzmysławia mu ona potrzebę pomocy, wsparcia od innych i sprawia, iż również na siebie przyjmuje obowiązek działania dla dobra bliźnich.

Proces integracji jest sztuką subtelną, wydarzeniem, które trwa. Nigdy nie zostaje w pełni zakończony; każda chwila przynosi bowiem nową wiedzę o świecie i nowe rozumienie samego siebie. Dlatego ten, kto polega na sądzie sumienia nie będącym owocem integracji, jest jak kierowca, który planując swą trasę nie bierze pod uwagę sieci autostrad. Może wyrządzić niewypowiedziane szkody — samemu sobie i tym wszystkim, którzy będą mieli nieszczęście natknąć się na niego w jego szaleńczej podróży. Jednakże dopóki publiczne zagrożenie nie urzeczywistni się, światła tego człowieka, choćby prawie niedostrzegalne, należy szanować i obserwować z najwyższą troską. Zachowując należyty szacunek musimy jednak wznosić bariery. Lecz takie środki ostrożności potrafią łatwo zranić. Chociaż więc kierowcy należy się szacunek, ponieważ jest naszym bratem, jego sposób prowadzenia samochodu nie powinien nikomu służyć za przykład.

W świetle tego wszystkiego wyłania się następujący wniosek: w każdym szczerym osądzie sumienia zawiera się czynnik *absolutny*, wymagający szacunku od Boga i człowieka, a także *względny*, żądający od nas coraz

większej dojrzałości. Każdy osąd sumienia doskonali człowieka i uwypukla jego niedoskonałości. W jednym i tym samym akcie, jednocześnie.

Zatem człowiek mądry, wierny swemu sumieniu, może zająć zdecydowane stanowisko lub — w razie potrzeby — cofnąć się kilka kroków, by naprostować swą drogę. W każdym jednak przypadku, nawet gdy zajmuje w pełni zdecydowane stanowisko, przeczuwa radość ponownego marszu, dzięki któremu odkryje nowe możliwości jeszcze lepszych decyzji.

TEOLOGICZNE ROZWAŻANIA O POSŁUSZEŃSTWIE

Rozważanie teologicznego pojęcia posłuszeństwa to poruszanie zagadnień praktycznych. Cisną się nam od razu do głowy pytania, w jaki sposób chrześcijanie mają być posłuszni papieżowi, księża diecezjalni swemu biskupowi, czy też zakonnicy przełożonemu. Inne pytanie dotyczyłoby z kolei tego, w jaki sposób parafianie powinni, czy też nie, okazywać posłuszeństwo swym duszpasterzom. Jednakże odpowiedzi na problem posłuszeństwa nie tyle należy szukać w pragmatycznych rozwiązaniach trudnych przypadków, ile w teologicznej refleksji. Wizja musi wyprzedzać działanie.

Dane do owych rozważań powinny pochodzić ze źródeł teologicznych. Aż kusi, by wyliczyć je w tradycyjnej kolejności: świadectwo Pisma Świętego, Ojcowie Kościoła, życie modlitewne wspólnoty, działalność świętych i tak dalej. Ale to nie wszystko. Dzisiaj po omacku szukamy nowych źródeł, takich jak *sensus fidelium*, znaki czasu, *consensus* ludzkości w niektórych ważnych kwestiach, poglądy chrześcijan, odmienne od katolickich, i wiele innych. Ponadto stanęły przed nami problemy hermeneutyczne i jesteśmy w owocny sposób zagubieni pośród starych i nowych źródeł.

Kościół sam w sobie, czyli wspólnota ze swoją złożoną i ograniczoną strukturą, stanowi najlepszą zasadę hermeneutyczną: wspólnota musi oceniać znaczenie źródeł. Jednakże przed podjęciem ostatecznej decyzji trwa długi proces przewycięzania wątpliwości i wahań. Teologia jako taka stała się pielgrzymem wędrującym w ciemności — nie jesteśmy pewni, czy to półmrok przed nocą, czy też świt nowego dnia.

Zatem nasze teologiczne wnioski odnośnie do posłuszeństwa będą, już w założeniu, skażone wątpliwościami. Taki stan teologii jest odbiciem natury Kościoła. Chryś-

tus nie pozostawił swym uczniom całkowitej jasności. Pomógł im wejść na drogę prowadzącą do Ojca. Obiecał jedynie dostateczną ilość światła na czas trwania ich pielgrzymki. A jeśli chodzi o ścisłość, we wczesnym Kościele pewność istniała co do kilku zasadniczych punktów, zaś wiele innych otaczały wątpliwości. Dzisiaj ponownie osiągnęliśmy ten pierwotny etap. Doświadczamy zarówno pewności wiary, jak i niepewności naszych rozważań.

Posłuszeństwo zwykle uznawane było za proste pojęcie, za podporządkowanie się jednej osoby drugiej. Mówiło się o różnych stopniach tego podporządkowania, lecz definicja pozostawała w zasadzie bez zmian.

Teraz poszukujemy lepszego zrozumienia posłuszeństwa; stara definicja została zakwestionowana.

Aby sformułować nową teologię posłuszeństwa, musimy w pierw odnaleźć przyczyny naszego obecnego zagubienia i niewiedzy. Oto dwie z nich:

a) Posłuszeństwo jest odpowiedzią na władzę. Zatem nasze rozumienie posłuszeństwa zależy od rozumienia pojęcia władzy. W chwili obecnej omawiamy i badamy jej nowe wymiary. Skoro więc nie mamy jasnego pojęcia władzy, nie mamy również jasności co do pojęcia posłuszeństwa.

b) Władza jest zaledwie jednym z przejawów życia wspólnoty. Jednakże nasze rozumienie wspólnoty pojętej ogólnie, a w szczególności wspólnoty chrześcijańskiej, w ciągu ostatniej dekady przeżyło szybki rozwój, nie osiągając pełni jasności. W konsekwencji, zagubieni w sprawach wspólnoty zagubiliśmy się również w rozumieniu władzy.

Innymi słowy, aby lepiej zrozumieć posłuszeństwo, potrzebujemy nowej wizji *władzy*, jako że posłuszeństwo i władza zawsze idą w parze. Odnoszą się one do siebie tak jak wezwanie i odpowiedź. Nawiasem mówiąc, nie zawsze można łatwo określić, która ze stron wzywa, a która odpowiada, szczególnie w relacjach osobowych. W każdej bowiem sytuacji z obu stron dobiegają nakładające się na siebie wezwania i odpowiedzi.

Następnie odkrywamy, że skoro we wspólnocie funkcjonuje relacja władza-posłuszeństwo, musimy sobie głębiej uświadomić znaczenie *wspólnoty*. Wymiana pomiędzy tym, kto wzywa (jednostka nadrzędna), i tym, kto odpowiada (człowiek), zrozumiała jest jedynie w konteks-

cie wspólnoty, która zawsze jest organiczną jednością — w przeciwnym razie po prostu wspólnoty nie ma. Poszukując znaczenia pojęcia posłuszeństwa, badamy związek między dwoma osobami. Jako że są one obdarzone rozumem i wolną wolą — zdolnościami twórczymi — zawiązuje się relacja *szczególna*; jest to relacja między osobami. Problem nie wyczerpuje się w tym miejscu; staje się bardziej złożony, ponieważ na scenę wkracza Bóg. Jego nieograniczone działanie wpływa zarówno na sprawujących władzę, jak i tych, którzy są jej posłuszni. Wszyscy w różnoraki sposób mają udział w potędze Boga.

Rzecz w tym, że nie można teologizować na temat posłuszeństwa jako takiego. Musimy cofnąć się ku bardziej podstawowym rzeczywistościom.

Ostatecznej odpowiedzi na problem posłuszeństwa nie możemy sformułować właśnie dlatego, że nasze rozważania dotyczące wspólnoty i władzy nie posunęły się dostatecznie daleko. Jesteśmy w trakcie poszukiwań, a nie na etapie pewności czy wniosków.

Jednakże w posłuszeństwie występuje jeden trwały element. Posłuszeństwo jest postawą osoby. Jest cnotą w klasycznym sensie aktu (*actus*) czy też zakorzenionym przyzwyczajeniem (*habitus*). Jest ukierunkowaniem się osoby; ukierunkowanie owo stanowi wynik wolnego wyboru, by podporządkować się władzy wspólnoty.

Posłuszeństwo jest zatem gotowością wobec innych. Jest przejawem życia we wspólnocie. Zawierają się w nim wszystkie wymiary chrześcijańskiej społeczności: związek między Bogiem i grupą, Bogiem i jednostką ludzką, a także relacja między jednym członkiem wspólnoty i drugim.

W tym właśnie osobowym kontekście rozumiemy, że posłuszeństwo stanowi szczególny aspekt łączności duchowej, miłości między osobami.

Posłuszeństwo może oczywiście oznaczać relację osobową pomiędzy Bogiem i człowiekiem, absolutną w tym sensie, iż człowiek winien jest Bogu absolutne posłuszeństwo. Jednakże nie jest ona absolutna w tym znaczeniu, że Bóg chce zniszczyć przez posłuszeństwo swe własne dzieło (rozum i wolność człowieka). Chce, by człowiek był na Jego obraz — by w swej wolności był twórczy.

Ten zamiar Boga rzadko jest tematem rozważań. Pod-

kreśla się zależność człowieka od Boga, lecz nie Bożą intencję, by wynieść człowieka do poziomu równości z sobą. Uzyskujemy zatem wypaczoną ideę posłuszeństwa, ponieważ nie widzimy go w dynamice miłości głoszącej równość.

W rzeczywistości, od początku zbawienia posłuszeństwo Bogu jawi się jako absolutne i względne zarazem. To prawda, że człowiek winien jest Bogu całkowite posłuszeństwo. A jednak Bóg szuka partnerstwa, przyjaźni, związku miłości, której najsubtelniejszy symboliczny wyraz odnajdujemy w Pieśni nad pieśniami. Jako że strofy te zostały napisane i włączone do natchnionego objawienia Bożego, trudno o doskonalszy obraz posłuszeństwa niż opisana w nich nieposkromiona, wszechogarniająca radość, płynąca z miłości. Prawo wraz z Dziesięciorgiem Przykazań i wiele innych zaleceń dotyczących rytuałów są zaledwie do niej przygotowaniem. Dochodzimy tutaj prawie do związku przymierza, w którym człowiek, tak mało znaczący i zależny, wyniesiony zostaje do partnera niemal równego Bogu.

Proces ten dopełnia się w Nowym Testamencie, gdy podczas Ostatniej Wieczerzy Chrystus obwieszcza swym uczniom, że nie są już sługami, lecz przyjaciółmi. Przyjaźń ta to udział w życiu Jezusa, w Jego meście i radości Jego zmartwychwstania.

Rozumiemy zatem, dlaczego zwykle formalne posłuszeństwo, nie splatające się z miłością lub takie, które nie rozwinęło się w ten bogaty związek miłości, jest dla chrześcijanina przygnębiające.

Prawdziwie chrześcijański związek jest dynamiczny, jest procesem, którego rozwój wymaga wiele czasu. Posłuszeństwo wobec Boga, będące w swej dojrzałej formie miłością, stanowi prototyp posłuszeństwa pośród ludzi, które także musi zostać wplecione w związek miłości.

Zatem proces rozwijający posłuszeństwo stanowi kontynuację ruchu zainicjowanego przez Boga, który pragnie uczynić człowieka równym sobie. Ta właśnie nauka płynie z Wcielenia: Bóg nie tylko stał się człowiekiem, ale człowiek ma także udział w naturze i życiu Boga. Celem posłuszeństwa jest doprowadzenie człowieka do tej równości. Przeto związek między władzą i posłuszeństwem nabiera właściwego sensu dopiero wtedy, gdy sprawujący władzę postarają się uczynić tych, którzy mają im być posłuszni, równymi sobie.

Jednakże posłuszeństwo ma również wymiar wspólnotowy. Można je pojmować jako poświęcenie się jednostki na rzecz wspólnoty. Takie poświęcenie jest usprawiedliwione biorąc pod uwagę fakt, że wspólnota chrześcijańska stanowi sama w sobie wartość szczególną.

Bez wspólnoty po prostu nie umiemy żyć; stanowi ona dla każdego z nas zasadniczy element życia. Potrzebujemy jej jak ryba wody czy ptak powietrza. Bez niej nasze życie jest okaleczone, a rozwój sparaliżowany. Jej potrzeba to zasadnicza ludzka konieczność, ustanowiona i respektowana przez samego Boga. Historycznie rzecz ujmując, Bóg po raz pierwszy przemówił do wspólnoty, do plemion żydowskich, spadkobierców obietnic Jahwe. Jezus sam zawiązał wspólnotę. Od samego początku pójście za nim oznaczało poświęcenie się dla jej budowania.

W tym momencie doszliśmy do sedna sprawy; zrozumienie chrześcijańskiej wspólnoty wiary i miłości stanowi klucz do zrozumienia władzy, i w konsekwencji — posłuszeństwa.

Chrześcijańską wspólnotę powołuje do życia natchnienie Ducha Świętego, a spaja ją Słowo Boże. Wszyscy członkowie wspólnoty winni są posłuszeństwo Duchowi i Słowu. Owocem tego posłuszeństwa jest wspólnota.

To jednakże nie wszystko. We wspólnocie działa ten sam Boski zamiar i ta sama siła, za sprawą których dokonało się Wcielenie — przyście Boga na ten świat, by uzdrawiać, zbawiać i uświęcać wszystkich ludzi. Poświęcenie się Chrystusa dla człowieka jest żywe w chrześcijańskiej wspólnocie; wspólnota zatem powinna być poświęcona człowiekowi.

Jeśli posłuszeństwo każdego członka wspólnoty jest poświęceniem się na rzecz wspólnoty, wspólnota wierzących powinna być posłuszna wspólnocie ludzkiej. To prawda, chociaż stwierdzenie powyższe brzmi paradoksalnie i wymaga szerszego objaśnienia.

Kościół jest w posiadaniu dobrej nowiny, którą przyniósł nam Chrystus. Głosząc ją światu musi uwzględnić znaki czasu występujące poza chrześcijańską wspólnotą: specyficzne potrzeby człowieka danego czasu i miejsca, wzory myślenia i życia odrębnych ludów i narodów, wielkie wydarzenia historyczne. Dostosowanie się do nich w porozumieniu się i służbie to *kenosis* Kościoła, to praw-

dziwe posłuszeństwo wobec świata. Jest ono w sposób oczywisty zakorzenione w posłuszeństwie wobec Ducha i Słowa.

Cwa *kenosis* jest moralnym obowiązkiem Kościoła. Chrystus nie przyjął należnej mu chwały i ogołocił samego siebie dla zbawienia człowieka; podobnie powinna i musi postępować chrześcijańska wspólnota. Przez tak pojęte posłuszeństwo Kościół staje się pośrednikiem; Bóg i rodzina ludzka łączą się w jedno.

Dla pojedynczego członka wspólnoty posłuszeństwo oznacza wierność wobec owej wspólnoty. Pomiedzy członkiem i całą chrześcijańską wspólnotą zawiązuje się przymierze. Każdy troszczy się o drugiego, jest to forma zbiorowej odpowiedzialności, chociaż określenie to brzmi zbyt formalnie. W rzeczywistości jest to obfitość miłosierdzia wobec bliźniego, któremu towarzyszy pragnienie, by dawać bez umiaru.

Zakłada ono otwartość, w której potrzeby jednego człowieka stają się ogólnie znane, a pozostali członkowie wspólnoty są posłuszni wezwaniu o pomoc. Zatem wszyscy w tym posłuszeństwie powinni być ci, którzy przewodzą. Dostojny tytuł papieski — sługa sług Bożych, nie jest jedynie czczą ozdobą, lecz w swym najpoważniejszym wymiarze stanowi bezpośredni wyraz rzeczywistości teologicznej. Papież pierwszy musi być posłuszny wezwaniu, by uzdrawiać, zbawiać i uświęcać. To samo posłuszeństwo obowiązuje biskupów i starszych Kościoła w stosunku do wiernych. Nic nie zwalnia z obowiązku posłuszeństwa innych członków wspólnoty, gdyż i oni muszą zaspokajać potrzeby sług, papieża, biskupów i księży.

Posłuszeństwo to również pozostaje w równowadze z posłuszeństwem wobec Ducha i Słowa Bożego. Rzecz jasna, może ono istnieć jedynie w kontekście Ewangelii. Ale nawet tak widziane, występuje w *ludzkiej wspólnocie*, w której wszystko jest niedoskonałe. Prawa i zalecenia naznaczone są czasem w dużym stopniu, piętnem niedoskonałości. Te ludzkie ograniczenia stanowią źródło licznych problemów i napięć.

Rozwiązaniem owych problemów jest mająca ogromną wartość podstawowa jedność wspólnoty. Zachowanie tej jedności zdaje się rzeczą tak rozsądną, że w imię tego właśnie celu możemy niekiedy tolerować pewne ozna-

ki braku rozsądku. W wyniku tego rodzą się napięcia. Są one jednak niezbędne, by wspólnota posuwała się naprzód, stanowiąc siłę napędową. Usunięcie ich mogłoby doprowadzić do paraliżu.

Dlatego też nie jestem nawet pewien, czy dla dobra wspólnoty należy mieć jasną koncepcję władzy i posłuszeństwa. Poszukiwanie owej koncepcji poprzez cząstkowe wizje prowadzi wspólnotę we właściwym kierunku.

To pojęcie posłuszeństwa zasadza się na koncepcji Kościoła, której dzisiaj nie potrafimy dostatecznie uwydatnić. Kościół będący *wspólnotą* jest znakiem umieszczonym przez Boga w historii ludzkości. Znak ten był, jest i będzie dwuwartościowy. Nosi znamię łaski Boga, ale również ślady naszych grzechów. Właśnie z powodu tej dwuwartościowości osobę odczytującą znak musi cechować równowaga ducha i zrozumienie. Niektórzy widzą w nim *jedynie* działanie Boga i przy takiej interpretacji błędnie przedstawiają rzeczywistość Kościoła. Inni dostrzegają *wyłącznie* znamiona grzeszności i wyciągają fałszywe wnioski, iż taka wspólnota nie może być znakiem pochodzącym od Boga.

Jednakże wspólnota jest znakiem w tym sensie, że głośli nasze zbawienie *in actu*, w procesie jego działania, procesie, który uzdrawia, zbawia i uświęca. Zatem zarówno łaska, jak i grzech są i muszą być dostrzegane jednocześnie.

Innymi słowy, Kościół nie jest po prostu znakiem świętości Boga. Nie jest też po prostu przejawem naszych grzechów i ograniczeń. Stanowi widzialny dowód łaski wychodzącej naprzeciw grzechowi. Znak sam w sobie jest paradoksem i może być rozumiany tylko przez tych, którzy pojmują zarówno łaskę Boga, jak i grzeszną naturę człowieka oraz to, w jaki sposób one obie nawzajem siebie potrzebują.

Skoro posłuszeństwo jest oddaniem się na rzecz wspólnoty, jest ono aktem czy postawą, którą należy rozwijać, by podtrzymać znak wprowadzony przez Boga do naszej historii. Zatem posłuszeństwo jest deklaracją wiary w widzialny, namacalny, człowieczy, święty i grzeszny Kościół, we wspólnotę, która się przemienia. Posłuszeństwo jest wyznaniem wiary w Kościół, widzialny, niedoskonały, lecz który w sposób widoczny posuwa się od grzechu ku dobru.

Podczas gdy pojęcie *kenosis* jest prawidłowe i aktualne

od wieków, formy posłuszeństwa w Kościele bez wątplenia były uwarunkowane okolicznościami czasu i miejsca, a także teologią danego okresu. Brak zrozumienia organicznej natury Kościoła doprowadził do jednostronnej koncepcji posłuszeństwa. Zapomniano zupełnie o jego wspólnotowym wymiarze i określano jako „akceptację woli innej osoby”. Koncepcja taka była niepełna, a przez to niewłaściwa.

Dokąd nas te rozważania prowadzą? Z pewnością nie do ostatecznie sformułowanej idei posłuszeństwa. Ani też do całkowitej jasności. Lecz raczej ku postawie, która dąży do zjednoczenia z Bogiem poprzez jedność ludzkiej społeczności. Posłuszeństwo jest zatem gotowością, która inspirowuje człowieka do podtrzymywania i rozwijania chrześcijańskiej wspólnoty. Wyrasta ono z aktu wiary w to, iż widzialny Kościół, grzeszny i święty, jest jednym z potężnych dzieł Bożych w historii.

A teraz czas na pewne wnioski praktyczne. Główna zasada jawi się nam w całej swej jasności i niezrozumiałości: posłuszeństwo to budowanie, akceptacja jedności chrześcijańskiej wspólnoty i naprawianie tej jedności, gdy zostaje ona rozbita.

Z praktycznego punktu widzenia posłuszeństwo jest głównie dziełem Ducha Świętego oraz odbieranych przez nas jego poleceń, wskazówek i inspiracji.

Docierają one do nas przede wszystkim przez Pismo i chrześcijańską wspólnotę. W kwestiach wiary mamy do czynienia z posłuszeństwem, kiedy cała wspólnota lub prawnie wyznaczone organa władzy w Kościele, obdarzone charyzmatem wierności, oznajmniają, iż pewna nauka, pewien fakt jest częścią Bożego objawienia oraz stanowi nieodłączny i zasadniczy element naszej wiary.

Kiedy chrześcijańska wspólnota i jej prawomocne organa władzy poszukują światła, nikt nie może prawdziwie i w wierze uznać, iż osiągnięto wynik ostateczny, bowiem w tym właśnie czasie nie jest on znany z pełną wiary pewnością. Może jedynie dać świadectwo o dziejącym się procesie, jego rozwoju. Człowiek powinien poświęcić się budowaniu jedności, co w praktyce może oznaczać rozjaśnienie problemów doktrynalnych.

Posłuszeństwo wobec praw ludzkich również musi opierać się na zasadach teologicznych. Nikt z wyjątkiem Boga nie może mieć władzy nad Jego dziećmi. Jeśli ja-

kąkolwiek władzę ma wspólnota, to tylko dlatego, że władza ta nadana została przez Boga. Zatem każde prawo ludzkie musi być interpretowane w ujęciu znacznie szerszym — posłuszeństwa wobec Niego.

Wszelkie czysto formalne posłuszeństwo w kontekście chrześcijaństwa stanowi źródło frustracji i w rzeczywistości niszczy chrześcijańskie życie, ponieważ prawo nie zbawia nikogo. W posłuszeństwie albo mamy do czynienia z dynamiczną siłą rozwijającą się w miłość, albo nie jest to po prostu chrześcijańskie posłuszeństwo.

NIEOMYLNOSĆ RĄZ JESZCZE

Ekumeniczny dialog teologów może się powieść tylko wtedy, gdy żadna ze stron nie upiera się przy swoim zdaniu, lecz próbuje wyjaśnić pozostałym własne poglądy; może się powieść, gdy wszyscy zainteresowani jednoczą się w rozważaniach nad tajemnicami Bożymi. Kiedy patrzą na siebie z niechęcią, sprzecząc się i gestykułując, nie ma mowy o porozumieniu; podziały znikają, gdy wspólnie zwracają wzrok ku Bogu i Jego dziełom pośród ludzi. Od tej chwili nie ma miejsca na postawy zaborcze i defensywne batalie: powstają warunki do prawidłowego teologizowania.

Platon bardzo słusznie zauważył, że filozof rodzi się wtedy, gdy osoba obserwująca nasz wszechświat i wszystko, co się w nim zawiera, odczuwa *pathos*, pewne zaniepokojenie wobec tego, co nieznanne. Podobna idea istnieje w tradycji chrześcijańskiej. Człowiek staje się teologiem, gdy w obliczu Bożych tajemnic doznaje uczucia podziwu i zdumienia.

Przyznać należy otwarcie, że wielkie zdumienie i niezbyt duży zachwyt wzbudza atrybut nieomylności, przypisany papieżowi przez Sobór Watykański I. Oczywiście, wkrótce po Soborze wykazano — i pogląd ten jest aktualny do dziś — że warunki działania tego charyzmatu są ściśle określone; nie za każdą zwykłą wypowiedzią papieża stoi Duch Święty. W większości papieskich stwierdzeń Słowo Boże miesza się z czysto ludzką wiedzą i mądrością. Sobór Watykański II ukazał nam nowy wymiar nieomylności papieża, podkreślając kolegialny charakter episkopatu, któremu przewodzi.

A jednak nie wszystko jest w porządku. Na spotkaniach ekumenicznych zagadnienie nieomylności zostaje najczęściej dyskretnie przemilczane. W konsekwencji problem nadal istnieje, nierozwiązany, choć w formie utajonej. Jedność się nie umacnia.

Termin „nieomyślność” zdaje się obejmować wszystko. Zawiera w sobie przeczenie i nie odzwierciedla własnych ograniczeń.

Będąc negacją nie tłumaczy, czym nieomyślność jest. Powinniśmy zatem sięgnąć poza to wyrażenie.

A może pod niezręcznym słowem „nieomyślność” kryje się tajemnica, którą Sobór Watykański II ledwie zasygnalizował, lecz nie wyjaśnił ze względu na brak czasu czy środków? Może my, chrześcijanie dnia dzisiejszego, powinniśmy zbadać ten problem, a jeśli odkryjemy tajemnicę, wspólnie ją rozważyć, umacniając tym samym naszą jedność?

Według mnie tajemnica, kryjąca się za doktryną nieomyślności, to w rozumieniu katolików wierność Boga wobec Jego ludu. Wierność ta jest niezależna od wszelkich czynników ludzkich. Jest to wierność, którą Bóg obiecał Abrahamowi i jego potomkom — dzisiaj tak samo aktualna, jak na początku. Święty Paweł Apostoł mocno podkreślał ten fakt w Liście do Galatów. Wierność Boga wobec Jego ludu osiągnęła punkt szczytowy w fizycznej obecności Chrystusa pośród nas, dzieci Bożych, błądzących i skazanych na błądzenie. Chrystus był Słowem, także dał nam Słowo, nie po to, by zaginęło, lecz by rozświetliło ciemności. Pozostawił je nam w Ewangelii tak, by żaden człowiek nie był pozbawiony płynącej zeń radości. Pozostawił nam niezmiennie silne światło.

Szczególnym aspektem chrześcijańskiej wiary, zbieżnym dla zróżnicowanych wspólnot, jest przekonanie o wierności Boga, który zachowuje Słowo pośród swego ludu pomimo zmiennych losów historii. Wierność tę wyjaśnić można na wiele sposobów. Formą wyrażającą ufność w wierność Bożą jest przyjęcie Pisma Świętego za przewodnika życia prawdziwie chrześcijańskiego (tak dzieje się przede wszystkim w Kościołach protestanckich). Kościół prawosławny dodaje do tego wielką cześć dla tradycji wynikającą z przekonania, iż Słowa Bożego nie mogą zniweczyć uczynki człowieka. Katolicy idą jeszcze krok dalej — zgodnie z ich wiarą wierność Boga wobec ludu objawia się i oddziałuje poprzez żywe osoby — sakramentalnie konsekrowanych biskupów, a w szczególności poprzez głowę ich wspólnoty — papieża. Być może, Sobór Watykański I nie wyraził tej tajemnicy w sposób najtrafniejszy, ale już Sobór Watykański II do-

konał wielkiego postępu, odpowiednio rozmieszczając w tej myśli akcenty.

„Nieomyślność” jest zapewne terminem nieporadnym, lecz próbuje on wyrazić cudowną rzeczywistość: tajemniczą i stałą obecność Słowa w Kościele. Jak możemy w pełni wyrazić tę tajemnicę? Czy człowiekowi kiedykolwiek starczało słów w obliczu Boga?

Wszystkie bez wyjątku wspólnoty chrześcijańskie wierzą, iż Bóg jest wierny swemu ludowi, a Jego Słowa nie pokrywa wiekowa warstwa kurzu, lecz że jest ono nadal żywe dzięki transcendentnej sile. Po Chrystusie nie dziedziczymy doczesnych szczątków, lecz żywe posłanie. W oczach protestantów mniej lub bardziej ludzkim narzędziem Bożej wierności jest Pismo Święte; dla Kościoła prawosławnego jest nim Pismo, tradycja i sakramentalnie uświęcony episkopat; dla katolików są nimi wszystkie te trzy rzeczy, przy czym szczególną pozycję przypisują osobie, która według nich jest następcą Piotra. Za tym kryje się tajemnica, w którą wierzymy wszyscy — Boża wierność. Różnimy się jedynie w kwestii odbioru jej oznak, kanałów przekazywania i stosowanych środków.

Ze sporów nie wynika nic dobrego; było ich już zresztą aż nazbyt wiele. Ale wszyscy możemy połączyć się w zadziwieniu i zachwycie nad faktem, że Bóg jest ze swoim ludem i że Jego Słowo trwa żywe. Doświadczanie tego nieprzerwanego wydarzenia jest na wskroś przejmującym przeżyciem. Fascynacja tajemnicą i płynąca z niej wdzięczność są w stanie wytworzyć jedność silniejszą, niż śmielibyśmy marzyć. Będzie ona jeszcze jednym przejawem wierności Boga wobec Jego ludu.

JAK DZISIAJ DOSTRZEC OBECNOŚĆ DUCHA ŚWIĘTEGO?

Chrystus przyniósł swym uczniom Dobrą Nowinę — przesłanie wolności. Poświęcił bez mała trzy lata, by je rozwinąć i wyjaśnić; potem przypieczętował autentyczność tego przesłania swą śmiercią i zmartwychwstaniem. Przypomnijmy, jak wychwycił znaczenie tego przesłania młody Szaweł, kiedy w drodze do Damaszku doznał niespodziewanego olśnienia. Po dziś dzień jego listy do braci chrześcijan przepelnia radość i zdumienie: jesteśmy wolni, zostaliśmy uwolnieni z niewoli ciała, grzechu i śmierci. Być chrześcijaninem to znaczy być wolnym. Być chrześcijaninem to być ubogim pielgrzymem, który nie ma nic, lecz który posiada wszystko. Być chrześcijaninem nie znaczy mieć skarby na ziemi, lecz posiadać wszystkie gwiazdy; nie mieć stałej siedziby, lecz schronienie „pod skrzydłem Boga”.

Z wolnością nieodłącznie jest jednak związana odpowiedzialność. Każda cząstka wolności stanowi równocześnie porcję obowiązków.

Potrzebna jest wielka mądrość, by żyć w wolności, szczególnie dzisiaj, gdy świat znajduje się w stanie silniejszego niż kiedykolwiek wrzenia. Człowiek dogłębnie bada dotychczas nie znane sekrety atomu i wszechświata. Pośród owych poszukiwań i wrzenia chrześcijanin staje niekiedy zdezorientowany. Proponuje mu się nowe idee i nowe sposoby życia. Zastanawia się zatem, jak je oceniać, jak odróżniać dobro od zła.

Od samego początku chrześcijanie powinni zatem zrozumieć, że Chrystus nie uchronił swych uczniów od wiru wydarzeń tego świata ani też od płynących zeń wzruszeń i niepokoju. Wręcz przeciwnie, pragnął, by znajdowali się dokładnie w jego centrum. Nigdy nie obiecywał im nowego porządku świata, przejrzystości, ładu i aseptyczności. Ostrzegał raczej, że aż do Jego powtór-

nego przyjścia ich życie pełne będzie niespodzianek, zarówno dobrych jak i złych. I nawet owo przyjście opisane jest jako ostatnie wydarzenie uniwersalnego kataklizmu, w którym zamęt narasta do tego stopnia, że gwiazdy spadają z nieba, a Słońce i Księżyc gasną. Rzecz jasna, język ten jest pełen symboli, ale przekazuje pewną prawdę. Chrześcijanie nie są odwołani ze świata, lecz powołani, by zwiastować nadzieję, nawet jeśli świat nasz zda się drzeć w posadach.

Chrystus obiecał swym uczniom świat pełen niepewności, lecz dał im godnego zaufania przewodnika. Przewodnikiem tym jest Duch Święty.

Chrześcijanie wierzą, iż Bóg dokonuje pośród ludzi potężnych dzieł. Stworzenie wszelkiej rzeczy przypisywane jest nieograniczonej potędze Ojca, zbawienie człowieka — dobroci Syna (stał się jednym z nas, Jezusem z Nazaretu), uświęcenie świata — mocy Ducha Świętego.

Bóg obiecał niegdyś pozostać ze swym ludem. Dotrzymał obietnicy zsyłając nam Syna i kiedy straciliśmy Go z oczu, spuścił Ducha, stanowiącego źródło wszelkich dobrych myśli i uczynków. Duch Boży jest z każdym człowiekiem dobrej woli: wie gdzie go ku Bożemu królestwu. Istotne jest zatem, byśmy potrafili dostrzec w naszych sercach i otaczającym nas świecie znaki obecności i działania Ducha Świętego i tym samym mogli za nim postępować. Poniższe rozważania nie są w rzeczywistości niczym innym jak nowym wariantem starego tematu — dostrzegania działania Ducha Świętego — tyle, że dostosowane do nowych czasów i potrzeb. Należy jednak pamiętać, iż żaden z opisanych znaków nie jest sam w sobie niezawodny. Powinniśmy rozważyć jednocześnie kilka znaków, i nawet wtedy sformułowanie dobrze wyważonego wniosku wymaga ogromnej mądrości.

Najlepiej rozpocząć ten wykład od przedstawienia biblijnych znaków obecności i działania Ducha Świętego w dniu, kiedy został dany uczniom — w dniu Pięćdziesiątnicy. Znakami tymi były *wicher*, *ogień* i *nowe przesłanie w nowych językach*.

Czytamy w Dziejach Apostolskich, że w dniu pierwszej Pięćdziesiątnicy, gdy Duch Święty został zesłany apostołom: „Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wichru, i napełnił cały dom, w którym przebywali” (Dz 2,2). Zerwał się gwałtowny wicher. *Wicher* oznacza ruch powietrza; oznacza ożywczą bryzę, a także gwałtowną burzę, która oczyszcza atmo-

sferę. Tam, gdzie obecny jest Duch Święty, z pewnością pojawi się wicher, ponieważ jest on żywym Bogiem, który prze-twarza oblicze ziemi. To prze-twarzanie oblicza ziemi oznacza wielki ruch, który wnosi świeży powiew w życie ludzkości i Kościoła. Wicher towarzyszący zesłaniu Ducha Świętego nie niweczy życia — czyni on dar życia pełniejszym, dodaje mu ruchu. Jeśli w danym miejscu ruchu nie ma — mało prawdopodobne, by obecny był w nim Duch Boży, żywy Bóg, który prze-twarza oblicze ziemi.

W Dziejach Apostolskich czytamy także: „Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden” (Dz 2,3). *Ogień* oznacza dynamizm. Oznacza wypalenie starego dla przygotowania miejsca nowemu. Gdy Duch Święty jest obecny w osobie lub w instytucji, jest niczym ogień; próbuje wypalić wszystko, co niepotrzebne, by przygotować miejsce na przyjęcie nowych darów, które pragnie ofiarować. Ogień jest również symbolem miłości — miłości aktywnej, przejawiającej się w czynkach. Mówimy, że płonie się miłością do drugiego człowieka. Taka właśnie miłość świadczy o obecności Ducha.

„I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić” (Dz 2,4). *Przesłanie*, które zaczęli głosić apostołowie, było dobrą nowiną o zmartwychwstaniu Chrystusa i słyszano je w językach, którymi apostołowie, rodem z Galilei, wcześniej nie władali. Człowiek działający z Duchem Świętym będzie niósł nowe przesłanie; owa nowość to znak Ducha. Nasz Pan powiedział, że Duch Święty powiedzie uczniów do wszelkiej prawdy. A zatem każdy, na kogo spłynie łaska obecności Ducha, będzie pojmował w sposób nowy naukę Chrystusa. W konsekwencji będzie również głosił nowe przesłanie, wyraz swej nowej wizji. Nie powtarzając po prostu rzeczy zasłyszanych, będzie w stanie powiedzieć coś od siebie. To nowe przesłanie, nie niszczące, lecz objaśniające naszą tradycję, będzie ponadto nowym spojrzeniem na starą doktrynę.

Od tych znaków zesłania Ducha Świętego możemy przejść do klasycznego opisu jego darów. W Liście do Galatów czytamy: „Owocem zaś ducha jest: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie” (Ga 5,22).

Znakiem obecności Ducha Świętego jest *miłość* w ser-

cu dobrego człowieka. Miłość chrześcijańska oznacza gotowość do dawania, a miarą miłości jest to, ile damy. Dawanie drugiemu naszych dóbr materialnych może być miłością, ale jest zaledwie jej początkiem. Najcenniejszym, co posiadamy, jest nasza własna osoba i obfitość miłości rozpoczyna się w momencie, gdy ktoś oddaje się drugiej osobie, nie dlatego że ta druga osoba na to zasługuje, lecz dlatego że w dającym bije nieznające granic źródło miłości. Podobna miłość pochodzi może jedynie od Ducha Świętego, ponieważ Boże światło i siła są niezbędne do podjęcia ryzyka i dźwignięcia ciężaru niepewności, rodzących się z takiego dawania. Nie wszyscy, którzy twierdzą, że kierują się miłością, obdarzeni są tym drogocennym darem. Natomiast ci, którzy wiedzą, co znaczy dawać bez umiaru, otrzymali dar od Ducha Świętego, nawet jeśli nigdy o Duchu nie słyszeli. Właśnie w miłości człowiek staje się wielki, ponieważ miłość nie zna żadnych ograniczeń. Nasz umysł — przeciwnie; wiedza jest bowiem zawsze ograniczona. Miłość zaczyna wzbijać się ku nieskończoności tam, gdzie leży kres możliwości naszej wiedzy. Znakiem Ducha Świętego jest miłować ponad wiedzę.

Kolejnym znakiem Jego obecności jest *radość*. Nie jest to wybujałe uczucie, które człowieka wycieńcza, lecz szczęście rodzące się z niewzruszonej wiary w dobro wszystkich rzeczy oraz ich Stwórcy — Boga. Radość taka może współistnieć ze zmartwieniem, cierpieniem, a nawet udręką, ponieważ tkwi głęboko w naszej duszy i burze codziennego dnia nie są w stanie jej zmać. Z radości tej wykwita optymizm, wiara w ostateczne zwycięstwo tego, co uczciwe, dobre i święte.

Pokój, który Duch przynosi, nie jest spokojem tafli jeziora w bezwietrzny dzień, na której kołyszą się bezwiednie lekkie i czułe na każdy podmuch jachty. Pokój Ducha Świętego to spokojne zaufanie ludzi znajdujących się w mocno zakotwiczonej łodzi pośród rozszalałej burzy. Chrystusowy pokój nigdy nie był bezruczem pozbawionym życia, lecz pewnością na niepewnych morzach, doświadczeniem wszelkiego ryzyka i trudności w walce z żywiołami. Ufamy, że wszystko współdziała dla dobra tych, którzy są kochani przez Boga.

Pozostałe znaki — *cierpliwość*, *uprzejmość*, *dobroć*, *wierność*, *łagodność*, *opanowanie* — składają się na miłość, która nauczyła się dawać. Chrześcijanina powinno wyróżniać właśnie to, że ma w sobie trochę z szaleń-

stwa Boga, który oddaje się człowiekowi. Zdrowy rozsądek zaś nakazywałby, aby kalkulować, wydawać sądy i działać dopiero, gdy nabierzemy całkowitej pewności co do naszej racji. Wiara w ostateczny sukces szalonej miłości jest znakiem Ducha Świętego. Nikt inny nie zaprowadziłby człowieka aż tak daleko.

Do tych biblijnych znaków dodać można kilka nowych zasad, które pomogą nam dostrzec obecność i działanie Ducha Świętego. Większość z nich oparta jest w znacznej mierze na jednej i tej samej myśli. Oto ona: kiedy w danej osobie, nauce czy działaniu następuje harmonijne zbliżenie dwu skrajności, wielce prawdopodobne, że zjednoczenie owo jest zasługą Ducha Świętego. Istoty ludzkie mają skłonność do przesady, widzenia wyłącznie jednej z dwu krańców. Bóg zawsze dąży do tworzenia harmonii, nawet tam gdzie występuje opozycja. Jest to kolejny sposób wyrażenia myśli, iż równowaga jest dla nas najtrudniejszą do osiągnięcia cnotą, szczególnie gdy chodzi o zachowanie jej między jakościami boskimi i ludzkimi. Równowagę taką może osiągnąć Duch Święty.

Oto kilka zasad przewodnich, które będą przydatne w dostrzeganiu obecności Ducha Świętego w ludzkich słowach i czynach.

Wszystko, co od Ducha pochodzi, nosi znamiona człowieczeństwa. Znaczy to, że działanie rodzące się z natchnienia Ducha będzie boskie, ale jednocześnie głęboko człowiecze. Inaczej być nie może, gdyż w osobie Chrystusa Słowo Boże stało się Ciałem — boskość i człowieczeństwo zespoliły się w jedno. Na tym świecie wszystkie duchowe łaski w taki czy inny sposób stają się ciałem. Zatem prawdziwie święta osoba będzie boska w tym sensie, że zanurzy się w Bogu; i pozostanie jednocześnie człowiekiem. Jej nadprzyrodzony zmysł i człowieczeństwo rozwiną się w harmonii. I podobnie, bardziej jest możliwe, że twierdzenie doktrynalne czy nauczające pochodzi z natchnienia Ducha, jeśli charakteryzuje je równowaga między elementami boskim i ludzkim. Kiedy na przykład ktoś przedstawia obraz Kościoła podkreślając jego cechy boskie, lecz zaciemniając jego człowieczeństwo, taki obraz należy przyjmować ostrożnie. Ograniczenia, niedoskonałość i omyłność składają się na naturę Kościoła pielgrzymującego prawie w tej samej mierze, co jego piękno, doskonałość i nieomyłność. Prawdziwy obraz Kościoła na ziemi jest równowagą tych przeciwstawnych jakości.

Owoc Ducha Świętego jest zwykle mieszaniną starego

i nowego. Rodzi się ze starego drzewa, lecz ma świeży smak nowych zbiorów. Wiemy, że całość Ewangelii została przekazana apostołom; nie zostało im jednak dane pełne jej zrozumienie. A zatem kiedy w Kościele pojawiają się nowe idee czy nowe działania, pochodzą od Ducha Świętego, bowiem sięgając korzeniami tradycji, zawierają nowe poglądy i nowe natchnienia. Gdzie istnieje równowaga między starym i nowym, tam najprawdopodobniej obecny jest Duch Święty. Kiedy równowagi brak, możemy być słusznie przekonani o nieobecności Ducha.

Cokolwiek od Ducha pochodzi, zapewne w zwykłych okolicznościach charakteryzuje się harmonią między kontemplacją i działaniem — innymi słowy, biernością w przyjmowaniu Bożego natchnienia i aktywnością w budowaniu Bożego królestwa. Dzieje się tak dlatego, że sam Bóg jest wieczną kontemplacją; ogląda On i raduje się głębią swej własnej boskości; ale jest też jednocześnie Bogiem wiecznie aktywnym. Życie Trójcy Świętej jest dynamiczne. Syn rodzi się z Ojca, a Duch Święty pochodzi od Ojca i Syna. Bóg stwarza ten świat i poprzez Ducha stwarza go w Chrystusie. Zatem wszystko, co od Boga pochodzi, będzie naznaczone harmonią między kontemplacją i działaniem. Oczywiście, zdarzają się również i wyjątki. Człowiek może zostać powołany wyłącznie do kontemplacji, choć mało prawdopodobne, by ktoś został powołany wyłącznie do działania. Ale żaden z tych przypadków nie byłby czymś wyjątkowym. Zwykle jednak świadectwem obecności Ducha Świętego jest harmonia obu — kontemplacji i działania.

Znakiem obecności Ducha może być oryginalność myśli i czynów. Z kolei brak tej oryginalności może wynikać z nieobecności Ducha. Przez oryginalność rozumiem twórcze idee i czyny, czy to w porządku nadnaturalnym, czy też naturalnym. Bóg jest życiem i daje życie — życie pełniejsze. Oryginalność jest przejawem życia. Zatem mało prawdopodobne, by człowiek, który przez cały czas tkwi w tych samych przekonaniach, który nigdy nie weryfikuje swoich poglądów, pozostawał pod wpływem Ducha Świętego. Tam gdzie jest Duch, zawsze ujawnia się jakaś cząstka oryginalności.

Na obecność Ducha Świętego wskazuje z dużym prawdopodobieństwem harmonia między duchową wizją i mądrością w kwestiach prawnych. Niewiele rzeczy jest tak przeciwstawnych względem siebie jak duchowa intuicja, ze swą nieograniczoną wolnością i charakterem osobis-

tym, i legalizm z twardymi regułami, które znajdują odniesienie do sytuacji ogólnych i mogą stanowić zagrożenie dla indywidualnych potrzeb. Wielokrotnie w historii Kościoła między Duchem i prawem rodziły się napięcia. Dany człowiek pozostaje prawdopodobnie pod wpływem Ducha Świętego, jeśli w jego działaniu przejawia się harmonia stanowiąca powiązanie dynamizmu i wolności Ducha z poszanowaniem prawa.

Znakiem rozwijającej się świętości może być wzrastający zmysł praktyczny. Pewnie stwierdzenie to brzmi zaskakująco, lecz skoro Bóg stworzył świat, zna go i kocha, zawsze gdy ktoś dąży do silniejszego z Nim zjednoczenia, staje się coraz praktyczniejszy w zawiadywaniu problemami świata. Postępu świętości nie wyznacza marzycielstwo, lecz większa bystrość i zdrowy rozsądek. Święty Paweł, chociażby, był człowiekiem nader praktycznym; przypomnijmy, w jaki sposób organizował zbiórkę pieniędzy na budowę kościoła w Jerozolimie. Reguła świętego Benedykta charakteryzuje się mistyczną głębią i codzienną praktycznością. Święta Teresa, z kolei, o wielce kontemplacyjnej naturze, była jedną z najbystrzejszych kobiet swoich czasów, obdarzoną wielką smykalką do interesów.

Wszystkie te znaki i zasady oraz zastosowanie ich z rozwagą i roztropnością do konkretnych przypadków mogą służyć za linię przewodnią. Jest ona dzisiaj szczególnie potrzebna, ponieważ chrześcijanie, czy to ci żyjący w świecie, czy też w klasztornym odosobnieniu, muszą podejmować wiele osobistych decyzji. Muszą stwierdzić, czy książka jest prawdziwie odbiciem Chrystusowego Ducha, czy dany periodyk przynosi im przesłanie Dobrej Nowiny, czy wykładowca rzeczywiście mówi z natchnienia Ducha. Przypomnijmy sobie jednakże, że w życiu chrześcijanina lepszym niż jakikolwiek znak czy zasada przewodnikiem powinien być sam Duch Święty. Powinien obdarzać człowieka światłem i serdecznością, by ten mógł zauważyć i wyczuć obecność Bożego Ducha w innych ludziach, w całym świecie i we wszystkich zachodzących w tym świecie zjawiskach. Znaki i zasady są jedynie środkami prowadzącymi do tej mądrości, której nie można wyrazić słowami i która jest prawdziwym darem Boga.

NAWRÓCENIE

Nawrócenie jest jednym z ważniejszych tematów przewijających się przez literaturę biblijną. Jahwe nie zaprzestawał prosić swego ludu o to, by zmienić przyjętą drogę i całą duszą i umysłem nawrócił się do swego Boga. W rzeczywistości wykorzystał wszystkie fortele, jakie mogły przyjść do głowy serdecznemu przyjacielowi. Pragnąc osiągnąć pożądany rezultat — nawrócenie serc — nawoływał i zachęcał, czynił wyrzuty i karał.

Warunkiem koniecznym do pójścia za Chrystusem była przemiana serca. Nic innego nie wystarczało. Przemiana musiała sięgnąć tak głęboko do serca człowieka, że zdobywał on nową osobowość. Apostołowie wyruszyli, by głosić, iż nastał nowy świat, w którym ludzie muszą żyć z odnowionym sercem.

Nawrócenie leżało u podstaw wielu potężnych ruchów w historii chrześcijaństwa. Na człowieka spływała łaska Boża, zmieniając jego widzenie świata. Poszerzało się ono, a wąski horyzont, zamykający się na najpilniejszych potrzebach, stawał się za sprawą Bożego nieograniczonego planu niezmierny. Chwiejne stąpanie człowieka przemieniło się w pewne kroki giganta.

Czymże zatem jest owo tak upragnione nawrócenie? Wielu porządnych ludzi, którzy pozornie czegoś podobnego nie potrzebują, zwraca się do swych przyjaciół: „Módl się też i o moje nawrócenie”. Warto ten problem zbadać.

Zacznijmy od pytania o to, co tkwi w sercu osoby, która nawróciła się tak całkowicie, jak to zostało sformułowane po raz pierwszy w Dekalogu, a następnie udoskonalone przez Chrystusa. „Będiesz miłował Pana Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całą mocą i całym swoim umysłem; a swego bliźniego jak siebie samego” (Łk 10, 27). Taka osoba jest dla wszystkich źródłem miłości, źródłem dobroci.

Trudno nam zrozumieć, nie tyle w wymiarze intelektualnym, ile egzystencjalnym, co znaczy być źródłem dobroci. Wyrośliśmy w „handlowym” świecie, w którym codzienne przetrwanie opiera się na wymianie wartości, *quid pro quo*. Pieniądz nie tylko panuje nad gospodarką, ale i dla zachowania wspólnoty niezbędna jest wymiana dóbr i usług, równowaga pomiędzy pracą i zarobkiem, usługą i wynagrodzeniem.

Stać się źródłem miłości czy dobroci to wejść w odmienny świat. Nie ma w nim wymiany, dochodu czy zysku. Jest za to powtarzający się, ciągły, nieustający akt dawania. Przypomina się nam tutaj ulubiony temat greckich Ojców Kościoła: ubóstwienie człowieka. Człowiek staje się podobny do Boga, nie z powodu wszechwiedzącego intelektu, a nawet nie przez to, że ma jakąś moc czynienia cudów, lecz dzięki temu, iż jak Bóg jest źródłem dobroci. Z tej dobroci stworzony został świat, a nasze życie i śmierć włączone w odwieczny plan Boga.

Kiedy w człowieku nastąpi takie nawrócenie, problem, czy należy bardziej kochać Boga, czy bliźniego przestaje istnieć. Dla docierających na Ziemię promieni słonecznych nie ma rzeczy pierwszo- i drugorzędnych. Przynoszą światło i ciepło dla wszelkiego stworzenia, bez względu na to, czy jest dobre, czy złe, piękne czy brzydkie, rozkwitające czy więdnące. Całe stworzenie czerpie z jednego źródła dobroci. Dla człowieka, który żyje i rozwija się dając, również nie ma pojęcia pierwszeństwa. Jego miłość dosięga Boga, tak samo jak dosięga człowieka w pojedynczym, nierozdzielnej akcji. Czy udało się kiedyś komuś rozdzielić szczodroblive bogactwo górskiego źródła? Źródło jest jedno; każdy czerpie z niego zgodnie ze swoimi możliwościami. Czy udało się komuś narzucić promieniom słońca rzeczy ważniejsze? Świeci ono dla wszystkich. Tak samo dobroć człowieka nawróconego sięga zarówno Boga, jak i bliźniego. Problem, czy szukać Boga w sobie samym czy poprzez bliźniego, jest pytaniem błędnym. Należy stać się źródłem miłości, zdrojem dobroci. A wtedy człowiek będzie miłował Boga i bliźniego jednocześnie, jednym umysłem i duszą. Dalsze rozróżnienia w porządku praktycznym stają się zbyteczne.

To prawdziwie szczytny ideał. Któż jednakże może go urzeczywistnić? Nowy sposób życia! Kto potrafi go osiągnąć? Tutaj właśnie musimy być bardzo rozsądni. Jeśli

uznamy, że nasze rozważania dotyczą czegoś nieosiągalnego, skutek może okazać się tragiczny. W końcu nie każdy urodził się don Kichotem z La Manczy. Większość z nas nie ma talentu sięgania po to, co nieosiągalne. Jeśli nawrócenie jest nieuchwytnym pragnieniem, a nie realistyczną propozycją, pozostaniemy zaszyci w naszych wygodnych gniazdkach, dopóki nie wypłoszy nas burza mogąca zagrozić naszemu życiu.

Być źródłem miłości czy zdrojem dobroci to ideał osiągalny, lecz przy normalnym rozwoju wypadków trzeba doń zmierzać krok po kroku. Historia dostarcza nam wielu przykładów dramatycznych, niezwykłych nawróceń. Przemiana Szawła w Pawła pośród tajemniczej światłości i głosów jest prawdopodobnie przykładem koronnym. Nie dorównał mu nawet święty Ignacy Loyola, chociaż przemiana baskijskiego rycerza także odbyła się w dość dramatycznych okolicznościach i odegrał w niej swą rolę zarówno gwałtowny wystrzał armatni, jak i łagodność Matki Boskiej. Jednakże dla większości żyjących na ziemi chrześcijan nawrócenie się jest procesem ciągłym. Źródłem miłości stajemy się tylko raz na jakiś czas. Uświadomienie sobie, że za naszą dobroć nie dostajemy nagrody, może być drastycznym przeżyciem i zwykle maskujemy naszą ranę słusznym oburzeniem oraz odwołaniem się do *uczciwej gry* i sprawiedliwości. A jednak to dzięki takim właśnie bolesnym doświadczeniom rozwija się nasza chrześcijańska osobowość, a serca krok po kroku odmieniają się i zwracają ku Bogu.

Tradycja zna liczne sposoby prowadzenia chrześcijanina do większej dojrzałości. Wielu świętych o literackim zacięciu pozostawiło nam metody rozwijania się ku lepszemu życiu. Dzisiaj dobrym sposobem byłoby postawienie kandydata do nawrócenia, czy też — jak moglibyśmy go nazwać — kandydata do chrześcijańskiej dojrzałości, w sytuacji, w której zmuszony byłby dać wszystko, nie otrzymując nic w zamian. Próba powinna być konsekwentnie zaplanowana, tak by pierwsze okrzyki i protesty kandydata, uskarżającego się na bezsens podobnego testu, nie przynosiły żadnego skutku. Rzecz jasna, metoda ta w naszych czasach wydaje się niezwykła. A jednak Jezus korzystał z niej przede wszystkim wobec apostołów. Trudno Mu było przekazać im, że przyszedł po to, by dawać i dawać bez końca, aż do ostatniej kropli krwi. Wiele czasu upłynęło, zanim Piotr i

apostołowie nauczyli się takiego samego sposobu życia. Bóg dobrze wie (a wiemy i my), że protestowali i robili wszystko, by uchylić się od swego zadania.

Być nawróconym oznacza zatem z każdym dniem nawracać się coraz bardziej, oczywiście przy uwzględnieniu wszystkich wzlotów i upadków. Zasadniczy kierunek tego procesu powinien zmierzać ku górze, ale nikt nie może odbierać pielgrzymom prawa do chwilowych słabości, pod warunkiem, że momenty te zrównoważą zaczerpnięte na nowo siły.

Nawrócenie jest ideałem, który można osiągnąć. Właśnie pojawienie się pośród ludzi Boga w osobie Chrystusa pokazuje i dowodzi, iż to, co nieosiągalne, jest osiągalne. Zachęcamy więc nie tylko don Kichotów, ale i ztwardziałyłch realistów: człowiek jest w stanie zobaczyć, usłyszeć, dotknąć i poczuć Boga. Ta bliskość Boga odmieniać może dzień po dniu serce człowieka i napełniać je miłością i dobrocią. Znakiem postępu w tym procesie jest powolne zacieranie się ostrych dotychczas rozróżnień między miłością Boga, bliźniego i świata.

Nasz świat ma się bardzo kiepsko; trudno temu zaprzeczyć. Wszyscy widzieliśmy zdjęcie wielkiego grzyba nad Hiroszimą, chmurę, która zaznaczyła nasze wejście w nową atomową erę. Jesteśmy świadkami okrutnej udręki napięć, które wyrastały ze społecznej niesprawiedliwości i dobrowolnej obojętności.

Czy świat ten potrzebuje czegoś bardziej niż ludzi o nowych sercach, którzy są źródłem miłości i zdrojem dobroci dla wszystkich istot?